RODZINA polska

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
WARSZAWA



ROK XI MARZEC 1937

Cena egz. 50 gr

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

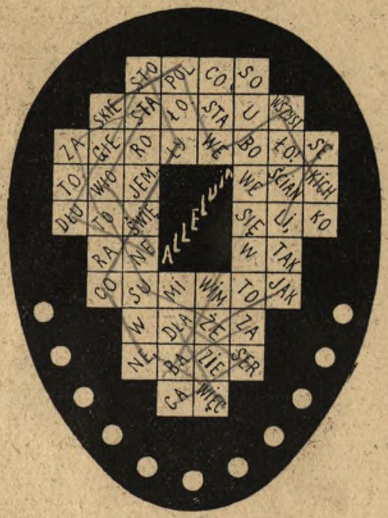
ALLELUJA!

SZARADA

Alleluja, Alleluja —
zwiastuny spiżowe
głoszą światu Zmartwychwstanie
Syna Człowieczego!
Alleluja, tryumf Światła
nad mroki grobowe,
odkupienia w **pięć-siedm-ósmej** rodzaju
rodzaju ludzkiego!
Alleluja, powstał z martwych
Raz-wtór-trzy ludzkości!
Wzniósł się w hołdzie dym kadzideł
wraz z pieśnią dziękczynną...
Wstał **Czwór-piąty Sześć-siedm-ósmej**
i sprawiedliwości!
Biją dzwony uroczyście
w Noc Rezurekcyjną..
Ty, coś **raz-dwa** i **pół siódmej**
ludzkość przez Swą Mękę,
wzniecił w sercach zorze!
Zawiedź nas ku pokojowi,
stłum wojny udrękę
zamień, Panie, **ten łez padół**
na królestwo Boże....

„Rex” (czł. Kl. Sz.).

KONIKÓWKA ŚWIĄTECZNA



Ruchem konika szachowego, poczynając od sylaby „Jak”, odczytać urywek wiersza polskiego poety, w dolnych zaś 11 białych kółeczkach — z liter: c, e, i, l, n, o, p, t, w, y — ułożyć imię i nazwisko tegoż poe- ty.

E. W.

SZARADKA

Szarada jest łatwa — więc się to jej chwali.
Raz-druga to bliżej bywa, to znów dalej.
Jak **raz-półpięć-piąta** upragniona bywa
dla tego, kto pierwszy do taśmy przybywa...
Trzecia-czwarta-piąta nauki dziedzina,
co prawa Przyrody ludziom przypomina.
Niejeden z radości nóżkami **trzy-piąte**,
że mojej szarady uchwycił już wątek...
Cała jako cała wcale nie jest łatwa —
niejednemu pewnie nie idzie tak gładko...

„Płomyk” (czł. Kl. Sz.).

ZIMA

SZARADA

Strojna martwotą szat oblubienicy
po ziemi stąpa białymi krokami...
Dni oszronione **siedem-pięć** się skrami.
chcąc bladym słońcem głód ciepła nasycić...
Dal niesie pustkę, kształtów nie mającą...
Czas przypatruje się sennym godzinom...
Mgłami **czwór-dwa-trzy-dziewiątymi** płyną
zmierzchy, co **dwa-raz** nie widują słońca...

Raz dzień **trzy-osiem-siedem** i noc spryska
kir nieba drżącą, brylantową rosą,
tęskne zadumy na skrzydłach mnie niosą,
odległą przeszłość ukazując z bliska...
Sześć śniegiem wspomnień, odżytych na nowo
czwór-pięć złamane pieczęcie milczenia...
nie **sześć-czwór-osiem** woli zapomnienia
żadne okrutne, bezlitosne słowo...
Trumny nadziei cicho się otwarły,
żal czadem gromnic wypalonych dymi...
w rozpaczy stoję nad **wtór-dziewiątymi**
i opłakuję złudzenia umarłe...

Ariusz Droski (czł. Kl. Sz.).

WIECZORY ZIMOWE

SZARADA

Czwór-druga pełnymi garściami
śnieg topi w wieczorów nurcie,
raz piąci — wtuleni w godziny —
gwarzymy, **osiem-czwór-pięć** — — —
Sześć trzeci, po którym gawędy
suną jak barwne echa,
czarem się **dwa-sześć** baśniowym,
gwiazdami się uśmiecha — — —

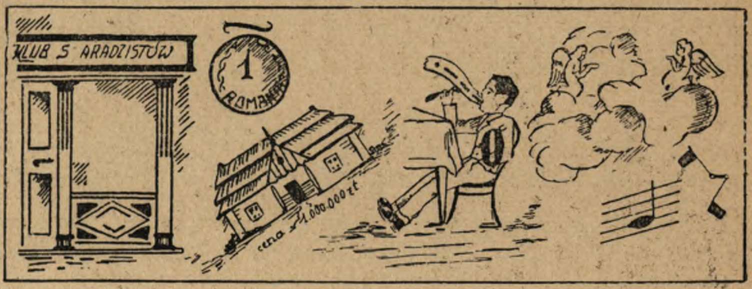
— —

Ta **siódma-ósma i pierwsza**,
na którą patrzysz w tej chwili —
to skromny **wspak ósmej Czwór-piątej**,
co stara się przymilić —
Jeżeli i tyś jej **ósmy**,
to miło mi stwierdzić, żeś **cały** —
Ja też — — **Sześć** dziwne to tylko,
żeśmy się dotąd nie znali — — —

Ariusz Droski (czł. Kl. Sz.).

Z CYKLU: „PRZYSŁOWIA POLSKIE”

REBUS



Treścią rebusu jest 6 wyrazów, o literach poczatkowych: **N, z, d, d, m, n.**

Ks. J. Lewicki (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązania powyższych zadań, lub choćby jednego, przeznacza Redakcja do rozlosowania **nagrody książkowe.** Termin nadsyłania rozwiązań **trzytygodniowy.**

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU STYCZNIOWEGO

Eliminatka: **Gdy się Chrystus rodzi.** (Klucz: Paweł).
Szarada: **Witajże nam Nowy Roku!**
Szarada: **...na wezwanie Komitetu.**
Szarada: **Noworoczne nadzieje.**
Szarada: **O, widzę właśnie przybywające tutaj z nieba Dobro.**

Nagrody książkowe otrzymują: **Za grudzień 1936 p. Zofia Gurjewowa** z Warszawy, za **styczeń 1937 p. inż. Z. Słowikowski** z Warszawy.

HALLO! SZARADZIŚCI!

Już wyszedł z druku nr 50 (lutowy) „ROZRYWKI” z mnóstwem ciekawych zadań! Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych! Prenumerata tylko **2 zł kwartalnie.** Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, Żulińskiego 7, m. 10. Telefon nr 7-06-99. Tamże do nabycia **„Tablica alfabetów”: chorągiewkowego, Morsego i palcowego,** po cenie **50 groszy.**

M. Sł.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK XI. WARSZAWA, MARZEC 1937.



W ŚWIETLE ZIMOWEGO SŁOŃCA

KU POKOJOWI ŚWIATA?

Ostatnie posunięcia na szachownicy polityki europejskiej, niby groźne trzęsienia ziemi, wzruszyły potężnie fundamentem światowego pokoju, na który w dodatku pada wciąż głęboko ponury cień zawieruchy hiszpańskiej.

Wobec tego odpowiedź na pytanie: czy zbliżamy się ku pokojowi świata? — jest z góry przesądzona i wypaść musi przecząco tym bardziej zwłaszcza, jeśli przez pokój rozumie się nie tylko negację wojny, ale wewnętrzny ład społeczny, równowagę i harmonię państw, pokojowe współżycie klas, warstw i stanów, oraz miłość wzajemną bliźnich, bez której świat cały będzie tylko jako miedź brząkająca i jako cymbał brzmiący.

Bez obawy przesady można tedy powiedzieć, że nie tylko nie zbliżamy się ku temu idealnemu a przynajmniej względnie idealnemu porządkowi światowemu, ale jak dziś rzeczy stoją na kuli ziemskiej, z dnia na dzień staje się sprawą coraz pewniejszą, że ludzkość znowu wpadnie w potworny zamęt wojny światowej o skutkach jeszcze groźniejszych nad te, które ostatnia pożoga wojenna wznieciła.

W tych warunkach, jakkolwiek słusznym jest potężny wyrzut, który dobywa się z dusz wielkiej ilości ludzi a zwraca się przeciw Lidze Narodów, to jednak na obronę instytucji genewskiej powiedzieć trzeba, że lubo jest ona tworem bardzo niedoskonałym, z tego powodu jest przecież ważną, że istnienie jej — to jeden drobny wprawdzie, ale pozytywny krok naprzód na drodze ziszczenia światowego pokoju. Twórcami jej byli zwycięzcy wojny światowej, którzy uważali ją — nie na ostatnim miejscu — za środek utrwalenia korzyści odniesionego zwycięstwa, co już u samego zarania istnienia Ligi Narodów niweczyło bez wątpienia nadzieje z instytucją genewską związane. Zasada rozbrojenia pozostała na razie czystą zasadą, lecz już to było czymś, bardzo małym, ale czymś, że rozbrojenie jako zasada uznane zostało.

Wielkie zło Ligi Narodów tkwi w tym, że zbudowano ją na czysto humanitarnych podwalinach. Może to być dobre do czegoś innego, lecz nigdy nie będzie dość trwałym i głębokim fundamentem dla stworzenia i utrzymania pokoju, który ma się rozciągać na wszystko i wszystkich. Polityczny i międzynarodowy pokój winienby także wojnę społeczną zażegnać międzynarodowymi środkami, ale o tym instytucja genewska nawet nie śmie marzyć, jakkolwiek zorganizowała międzynarodową sekcję robotniczą. Humanitarny, liberalny krąg myśli, w którym się Liga Narodów obraca, nie jest odpowiednim dla rozwiązania tego świat palącego, wojowniczego ducha, podsycającego zagadnienia. W dziedzinie reformy gospodarki światowej humanitarna ideologia potyka się wciąż jeszcze, niby zmęczona szkapa na kiepskim bruku, o tę alternatywę: „kapitalizm czy socjalizm". Krąg idei encykliki „Quadragesimo anno" jeszcze dlań obcy, gdyż opiera się na zbyt duchowych i chrześcijańskich zasadach, a tymczasem Lidze Narodów brak jakiegokolwiek nastawienia wobec jasno skrystalizowanego poglądu na świat. Kościół zaś nie ma swego przedstawiciela w instytucji genewskiej.

Czemu Kościół nie ma swego reprezentanta w Lidze Narodów? Nie tylko dlatego, że nie chce się ocierać o młyńskie kamienie międzynarodowych sporów, ale również dlatego, że w społecznym i międzynarodowym życiu myśl chrześcijańska nie odzyskała jeszcze dotychczas tego uznanego autorytetu i znaczenia, które ongiś posiadała. Są tego historyczne powody, które nie tylko wrogów Kościoła dźwignęły na wyżyny zwycięstwa, ale też sparaliżowały do pewnego stopnia żywotność samego Kościoła, tę żywotność, która tak wyraziście kształtowała niegdyś oblicze świata. Już od wieków bowiem żywotność Kościoła przenika raczej wewnętrzną, religijno-moralną dziedzinę, niżli organizacyjną i społeczną.

Nasuwa się tedy pytanie, czemu tak się dzieje i dlaczego tak się stało?

Chrześcijaństwo nie tylko u zarania swych dziejów, kiedy działało urokiem nowości, złożyło dowody niesłychanej siły podbojowej, która rozerwała żelazne łańcuchy, jakimi pragnęło je spętać prześladowcze, rzymskie, światowe imperium i która do tolerancyjnego edyktu z 313 roku potajemnie już połowę znanego wówczas świata do siebie przykuła, lecz także przez całą pierwszą połowę średniowiecza dawało cudowne oznaki zdobywczości i żywotności, która kształtowała społeczeństwo i utwierdzała kulturę. Tą przeszkód nie znającą, zdecydowaną i zwycięską prężnością, którą sam był ożywiony, Kościół — jak wspaniały orzeł, co gdziekolwiek spocznie, tam wszędzie zostawia ślady swych szponów — porwał za sobą wszystkie ludy i państwa nowej Europy i wykształcił podług własnych zasad ich życie polityczne, społeczne i kulturalne. Lecz po upływie tysiąclecia chrześcijaństwo jakby poczęło szybko tracić rozmach ekspansji. Nie zdołało przeszkodzić oderwaniu się Wschodu, w ciągu setek lat nie udało mu się tak dalece pobudzić swych ludów, by przebiły spiżową tarczę półksiężyca, która rzeczywiście na kształt półksiężyca: z wschodu, południa a po części zachodu okoliła ciasnym pierścieniem chrześcijańską Europę. Wewnątrz zaś Europy świecki miecz, interes polityczny, samowola władcza — wszystko to wzięło górę nad mieczem duchowym. Cesarz mianował papieży i biskupów, a niegodni i nieodpowiedni dostojnicy kościelni hamowali rozkwit Kościoła. Kiedy zaś blask półksiężyca zbladł, w chrześcijańskiej Europie zapanowała wielka apostazja, humanizm i rozłam religijny, później niereligijna filozofia, rewolucja i tysiączne odmiany neopogaństwa. Falista linia chrześcijaństwa opadła znacznie w dół i dopiero od pół wieku wskazuje znowu szerokie dążenie wzwyż nie tylko na terenie religijnym, ale również i w dziedzinie społecznej.

Mimo to jeszcze dzisiaj jest wielu wsteczników, którzy mniemają, że w dziele nowej przebudowy świata można się obejść bez współpracy Kościoła, a przynajmniej bez Jego przewodniczego i kierowniczego współdziałania.

Jednakże położenie dla chrześcijaństwa i Kościoła dojrzewa. Ogromne błędy liberalnego kapitalizmu pogrążyły świat w nieznośnym chaosie. Porwały go już dzisiaj nie tylko w odmęt idei, ale też w sferę bardziej odczuwalną, bo: chleba. W skrajnie radykalny sposób, okrutnie i krwawo składa dziś swój egzamin życiowy socjalizm w Rosji. To już początek końca. Zauważyć też można międzynarodowy wpływ owego egzaminu mianowicie: w rażącym upadku marksizmu w krajach europejskich. Nie tylko w Niemczech i Włoszech, nie tylko — w chwili obecnej — w Hiszpanii, nie tylko w Austrii i Portugalii, przebijających się do korporacyjnego ustroju, ale i indziej. Bałwany w gruzy padają, dla krzyża znów otwiera się miejsce.

Ci wszyscy, którym leży na sercu pokój świata i społeczeństwa, pokój rodzin i dusz, patrzą z upragnieniem



JÓZEF JANOTA-BZOWSKI

4)

KORZYŚCI DLA RODZICÓW, PŁYNĄCE ZE WSPÓŁPRACY RODZINY I SZKOŁY

Jeżeli chodzi o wychowanie społeczne młodzieży, to rodzice na tym odcinku również wiele ułatwień mogą zawdzięczać współpracy domu i szkoły.

Młodzież współczesna, jako całość, z jej raczej egoistycznym, materialistycznym i realistycznym poglądem na świat, nie ma, poza niezbyt licznymi jednostkami, wielkich predyspozycji psychicznych do społecznego ujmowania życia. Są liczne bardzo rodziny, których poziom społeczno-kulturalny nie stwarza żadnych pod tym względem twórczych możliwości, i wszelkie zdobycze z tej dziedziny, poza skłonnościami wrodzonymi, dziecko ich zawdzięczać musi jedynie pobytowi w szkole. W innych rodzinach zadatki pojęć i uczuć społecznych dziecko wynosi często z domu rodzicielskiego, dalszy ich rozwój jednak odbywać się musi również na gruncie zbiorowego życia szkoły.

Planowe jej współdziałanie z rodzicami może stworzyć warunki dla tej pracy bardzo korzystne i spowodować nastrojenie całego wychowania szkolnego na kamerton społeczny. Szkoła już w samym systemie nauczania może kultywować i rozwijać w umysłach dzieci i młodzieży pierwiastek społeczny. Zorganizowani rodzice i własnym przykładem ofiarnej, bezinteresownej pracy dla dobra młodzieży, i wpływami oraz środkami organizacyjnymi, jak: odczyty, pogadanki , zebrania dyskusyjne, urządzane w porozumieniu ze szkołą, mogą również wydatnie przyczynić się do wyrobienia w dzieciach zamiłowań społecznych. Możność rozporządzania tymi środkami i terenem szkoły — to wielkie dla nich ułatwienie w pracy.

Ale najbardziej wdzięcznym terenem do wyrobienia społecznego są własne organizacje młodzieży. Jedne z nich mają cele wyraźnie społeczne, inne — raczej tylko społeczne metody działania, ale jedne i drugie stanowią znakomitą szkołę społeczną.

Poparcie wspólnym wysiłkiem szkoły i rodziców wszelkiego typu organizacyj młodzieżowych (religijnych, charytatywnych, wychowawczych, naukowych, samorządowych i in.) pozwoli im ku wielkiemu ich zadowoleniu zobaczyć prędko rezultaty swoich starań. A zadowolenie to będzie tym więcej wytłumaczone, jeżeli się zważy, że wyrobione w młodym człowieku uczu-

i tęsknotą za takim zwrotem lub rozwojem stosunków, który w ostatecznym wyniku oznaczałby wskrzeszenie i przywrócenie znaczenia nowej, świat kształtującej, życiowej siły chrześcijaństwa. Od celu tego, niestety, jesteśmy na razie jeszcze daleko. Neopoganizm Europy skłębił czarne zwały fałszów i kłamstw. Niewielu jest tych, którzy je widzą i przenikają. Toteż leży i w interesie pokoju, w interesie życia i przyszłości, by ludzi takich było coraz więcej. Obowiązkiem zaś Kościoła — wyjść z murów świątyń i okazać się siłą zdolną świat zorganizować.

cie społeczne i zrozumienie potrzeby pracy dla innych da mu niejedną osobistą radość w życiu, uczyni to życie pełnym, pożytecznym i promiennym.

* * *

To samo mniej więcej, cośmy powiedzieli odnośnie wychowania społecznego, można powiedzieć o ułatwieniu rodzicom przez racjonalną współpracę rodziny i szkoły narodowego i obywatelsko-państwowego wychowania młodzieży. Wzajemne oddziaływanie na swoje środowiska przyczyni się niewątpliwie do przezwyciężenia niejednej nastręczającej się na tym odcinku pracy trudności.

Zasad wychowania narodowego, patriotycznego, oświeconych Polaków ani starych, ani małoletnich, uczyć nie potrzeba. Miłość ojczyzny tkwi w ich naturze. Wyssana z mlekiem matek, sprawiła, żeśmy przetrwali sto kilkadziesiąt lat niewoli oraz najusilniejszego wynaradawiania i w dniu odrodzenia niepodległości państwowej po tym koszmarnym śnie zbudziliśmy się takim samym narodem, jakim byliśmy poprzednio. Rodzice i szkoła muszą tylko zgodnie pracować nad kultywowaniem tych uczuć w sercach młodzieży, starać się drogą wspólnych oddziaływań wykorzeniać te wady, które tkwią w psychice polskiej oraz te, które nam zaszczepiła niewola, wdrażać wreszcie młodzież do wypełniania tych obowiązków narodowych, które życie współczesne z sobą przynosi. Bo dziś już nie dosyć jest Polskę kochać, Polski pragnąć, Polskę jakąś brawurową szarżą zdobywać, ale ją trzeba ofiarnym i mozolnym trudem dnia codziennego budować. Dla wdrożenia młodzieży do takiej pracy, dla wyrobienia w niej mocy wewnętrznej i tężyzny charakteru koniecznym jest harmonijne współdziałanie rodziny i szkoły, a możność wykorzystania rozporządzalnych organizacyjnych dróg oddziaływań jest dla rodziców wielką pomocą i ułatwieniem.

Jeżeli chodzi o sprawę wychowania obywatelsko-państwowego, to tu zasięg potrzebnej pracy wychowawczej jest znacznie szerszy. Niewola i podział na trzy zabory, odwyknięcie od własnego samodzielnego bytu państwowego, pewien przerost indywidualizmu i brak dyscypliny wewnętrznej w naturze polskiej, sprawiają, że nie tylko w masach nieoświeconych, ale i wśród sfer społecznych o wyższym poziomie oświaty i kultury, budzenie i rozwijanie poczucia potrzeby należytego szanowania własnej państwowości zarówno w wychowaniu domowym, jak i szkolnym, jest rzeczą słuszną i wskazaną.

W myśl tej zasady oraz prawdy, iż w młodym pokoleniu, w należytym urobieniu jego psychiki, leży przyszłość narodu — szkoła polska ostatniej doby wypisała na swoim sztandarze, jako hasło, postulat wychowania państwowego.

Nie znajdzie się na pewno dobry Polak, który by przeciwko idei niepodległego państwa polskiego, które jest najwyższą formą organizacyjną bytu ojczyzny, przeciwko idei, za którą całe pokolenia, aż do naszego najmłodszego włącznie, walczyły i ginęły oraz przeciwko wychowywaniu w jej duchu polskiej młodzieży miał czynić jakieś zastrzeżenia, bądź jej należycie nie doceniać.

I jeżeli około pojęcia państwa i tzw. wychowania państwowego wytworzyły się w ostatnich latach w społeczeństwie polskim rozdźwięki, to jedynie z racji z jednej strony zwężania szerokiej i pięknej idei własnego państwa do ram rządzącego — tego czy innego — kierunku politycznego, z drugiej strony — usiłowania zbytniego rozszerzania jego ingerencji w różne, „nieznoszące etatyzacji" dziedziny życia, rozmaitego wreszcie niejednokrotnie rozumienia relatywnych uprawnień tegoż państwa. Jeżeli chodzi o sfery rodzicielskie, to ich zastrzeżenia dotyczyły stosunku praw państwa do praw Kościoła i rodziny, jako tych dwóch czynników wychowawczych, które w wychowaniu młodych pokoleń przede wszystkim głos mieć powinny, bez swobodnego zresztą rozwoju, których, tegoż samego państwa, jako organizmu silnego i trwałego, wyobrazić sobie niepodobna.

Porozumienie się na tych nietrudnych zresztą w gruncie rzeczy do pogodzenia punktach sprawi, że żaden z wymienionych czynników nie będzie się czuł, jak to ma miejsce dzisiaj, w swych prawach i fundamentach dotknięty, i wszystkie one razem zgrupują się wokół wielkiej sprawy odrodzonego państwa polskiego.

W szczególności szczere i otwarte porozumienie i współpraca rodziny i szkoły na wszystkich szczeblach poczynając od najwyższych władz oświatowych, nadających ton i kierunek całej polityce szkolnej, w sprawie obywatelsko-państwowego wychowania młodzieży, niwelując przerosty i krańcowe z jednej i drugiej strony poglądy — postawi ważkie zagadnienie wzajemnego stosunku polskiej rodziny i polskiego państwa, czynników, tak przecież integralnie i nierozerwalnie z sobą związanych, w płaszczyźnie trafnych i zbawiennych dla przyszłości rozwiązań.

* * *

Dziedziną, w której korzyści rodziców, płynące z współpracy rodziny i szkoły, najbardziej bodaj rzucają się w oczy, jest dziedzina wychowania fizycznego i pomocy materialnej dla młodzieży.

Powszechnie znaną jest — jak to już podkreślaliśmy w innym miejscu — dbałość współczesnej szkoły polskiej o stan zdrowia i fizyczne wychowanie młodzieży. Raczej nawet przy dzisiejszym nastawieniu tej sprawy można by się tu i owdzie niepokoić o zbytnie tej młodzieży przesportowanie, obawiać się, aby rozmiłowanie w ćwiczeniach i troska o sprawność fizyczną nie przesłoniła jej innych zadań życiowych, a zwłaszcza dążenia do zdobycia trwalszych i o większym jeszcze znaczeniu wartości duchowych.

Tam jednak, gdzie obaw o tę przesadę nie ma, i wszystkie kierunki wychowania są należycie zharmonizowane, sprawa układa się jak najlepiej. Już to, co szkoła sama, w swoim zakresie, w tej dziedzinie robi, zdejmuje z bark rodziców wiele troski o zdrowie dzieci. Tam, gdzie w wysiłkach tych szkoła spotyka się z żywą myślą oraz moralnym i materialnym współdziałaniem rodziców — rezultaty bywają wprost znakomite i wracają automatycznie do rodziców w postaci dużego spokoju o cały rozwój fizyczny dzieci i wyrobienie ich sprawności oraz tężyzny życiowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Prof. WŁ. BURKATH

MOJA PODRÓŻ NA LITWĘ

(Przedruk wzbroniony).

Przyjaciele moi dowiedziawszy się o zamiarze wybrania się na Litwę starali się wszelkimi sposobami odwieść mnie od tego — w ich mniemaniu — szalonego projektu. Tłumaczono mi więc, że nie ma tam naszego przedstawicielstwa, że paszport Rzeczypospolitej nie jest ważny do Litwy, że czekają mnie tam niebezpieczeństwa a kto wie, czy nie osadzenie w znanym z depesz więzieniu kowieńskim.

Powiedział gdzieś Oskar Wilde, że dwie są rzeczy, dla których żyć warto, a mianowicie: zakazane i niezdrowe. Jest to niewątpliwie paradoks, ale tak fascynujący, że kto wie, czy nie zadecydował o mojej podróży. Dziś, kiedy każda podróż jest możliwa, a na zlecenie Cooka czy Orbisu otwierają się przed wami szlabany graniczne, wyprawa obywatela polskiego na Litwę pozostaje, w myśl powiedzenia Wilde'a, czymś zakazanym, niemal — egzotycznym.

Była późna, słotna jesień, kiedy z głębokiego jaru przyszłego dworca centralnego zabrał mnie pociąg wileński ku Rydze. Droga prosta, dawniej prowadząca na Litwę przez Landwarowo, zamknięta jest od lat kilkunastu. Podróżny musi okrążać Łotwę, aby po otrzymaniu w Rydze nieoficjalnej przepustki, przeprawić się na własne ryzyko przez wiechy graniczne.

W cichym dumaniu migają mi w pomroce nocy grudniowej Białystok, Druskieniki, Grodno. Od Wilna bieg pociągu zmniejsza się, dzięki czemu mogę oglądać na wpół zamarznięte jeziora, których w okolicy Dukszt i Turmontu są setki. W Zemgalach, granicznej stacji łotewskiej, następuje „zmiana toru", co powoduje przesiadanie się do pociągu ryskiego. I znowu długie godziny jazdy przez Dyneburg aż do serca kraju — starej Rygi. Nie chciałbym jednak nużyć czytelnika. Darujcie mi więc lukę w dziejach mej podróży i bądźcie wraz ze mną w parę dni później w Meitenie, gdzie nastąpił najbardziej decydujący moment mego przedostania się na ziemie gedyminowe.

Uprzejmy podoficer łotewski, sprawdziwszy treść mej przepustki, pożegnał mnie życzeniem szczęśliwej podróży i — zdrowego powrotu. Odległość kilku kroków, dzieląca mnie od szarzejących w pomroce zimowego poranku zabudowań posterunku litewskiego wydała mi się wiecznością... Mijałem jednak tę Charybdę z pewną miną, idąc sprężystym krokiem z małą walizką podróżną, kryjącą w sobie cały mój ruchomy majątek. Zielony, jak lasy graniczne, strażnik litewski obejrzawszy mnie zawczasu z okna swojego „obserwatorium", osądził snać, że osoba oddawcy międzynarodowej „przepustki" dolarowej nie stanowi dla Litwy niebezpieczeństwa, schował ją błyskawicznym ruchem do kieszeni munduru i oficjalnym gestem wskazał mi otwarty szlaban, za którym w odległości kilkunastu metrów stał długi rząd furmanek.

„Kto się w opiekę poda Panu swemu"... zagrało mi w pamięci bezwiednie, jak wspomnienie z lat dziecinnych. Spod okrytych obłokami pary bryczek i dryndulek porwało się ku mnie kilku woźniców. Rozległy się okrzyki, skierowane do mnie śpiewnym, miękkim, jak błoto przydrożne, akcentem. „Kur važuisiem" (Do



Zamek w Kiejdanach.



Wyższa szkoła ogrodnicza.



Birsztany.



Birszteny — uzdrowisko litewskie.

obraz wsi litewskiej. Nie znałem tych okolic, staram się więc jak najwięcej zobaczyć i — zapamiętać. Co kilka stajań witają nas osobliwe, jakże piękne drogowskazy święte, drewniane, o rozmaitych kształtach krzyże i figury przydrożne. Najczęściej są to figury św. Jana lub wysmukłe symbole Męki Pańskiej, strzelające w niebo swymi osobliwymi ramionami. Wiedziałem już dawniej, że wzniosła je ręka wiejskich snycerzy z ubiegłego wieku, że jest ich kilka tysięcy, nigdy jednak nie wydały mi się one tak piękne, jak tego grudniowego poranku. Cieszyły oko swymi estetycznymi kształtami a zarazem wlewały w duszę nadzieję, że przecież powrócę żyw i zdrów. Mój stary woźnica co chwila zdejmuje czapkę, mrucząc jakieś słowa modlitwy. Drogi litewskie, to wyraz szczekąd pojedziemy?) i, oczywiście, rozpoczął się przetarg. Z dumą stwierdziłem, że moja znajomość litewszczyzny z lat dziecinnych przetrwała do chwili obecnej. Toteż za chwilę wybieram sobie małego ale silnego siwka żmudzkiego i możliwą na pozór bryczkę i dobijamy targu. Do najbliższej stacji kolejowej jest osiemnaście kilometrów, jest zatem czas na rozejrzenie się po kraju i na rozmyślanie o tym, co mnie czeka.

Na przemian z psalmem Kochanowskiego snuje mi się po głowie makabryczny werset z Danta: „Laschiate ongi speranza”...

Arytmicznie synkopując człapie po wybojach błotnistej drogi niepozorny konik żmudzki. Droga wije się wciąż wśród bezkresnej równiny, z lekka wznosząc się ku górze. Mgły poranne opadają zwolna i przed moimi zaciekawionymi oczyma odsłania się kraj-



Rzut oka na Kowno.

rej wiary ludu litewskiego, niby antyczny praski Most Karola, przerzucony między dawnymi a nowymi czasy. Zbliżamy się do jakichś zabudowań gospodarczych, daleko pod lasem widać inną farmę, jeszcze dalej — znowu zabudowania. Rozumiem — to nowy typ wsi, powstały dzięki reformie rolnej. Gospodarstwa wiejskie rozrzucone są niby oazy po wielkiej przestrzeni dawnej własności. Wsie „kościelne”, skupiające większą ilość chat, są tutaj rzadkie, szukać ich należy w głębi kraju. Przy granicy widać za to nowoczesne „kolonie” — rezultat wspomnianego rozdrobnienia naszego dawniejszego stanu posiadania. Mój stary Charon na koźle zaczyna zdradzać chęci do pogawędki. Dy-



Plac ćwiczeń wojskowych.

skretnie odwraca się i zapytuje, czy mi nie zimno. Stwierdziwszy, że mówię po litewsku uśmiecha się pod sumiastym wąsem, z którego mrozik poranny zrobił coś na kształt zasieki wojennej. „Bo to, panoczku, całą noc stawszy i czekawszy”... Rozmawiamy więc w takt człapania końskiego i przeraźliwego skrzypienia resorów. Parę lat temu, kiedy byłem na Litwie, nie słyszało się tam narzekań, nie czuło kryzysu. Miałem wówczas wrażenie, że ten „zaklęty kraj”, dzięki swojemu przeważającemu rolnictwu, stanowić będzie nadal wyjątek wpośród innych państw europejskich. Mój sumiasty „cicerone” okazał się nie tylko pospolitym gadułą, ale zdradzał dużo inteligencji. Jest woźnicą od lat przeszło trzydziestu, dużo już widział, zna kraj i ludzi. Przewozi od granicy coraz rzadziej Polaków, najczęstszymi



Skautki litewskie.

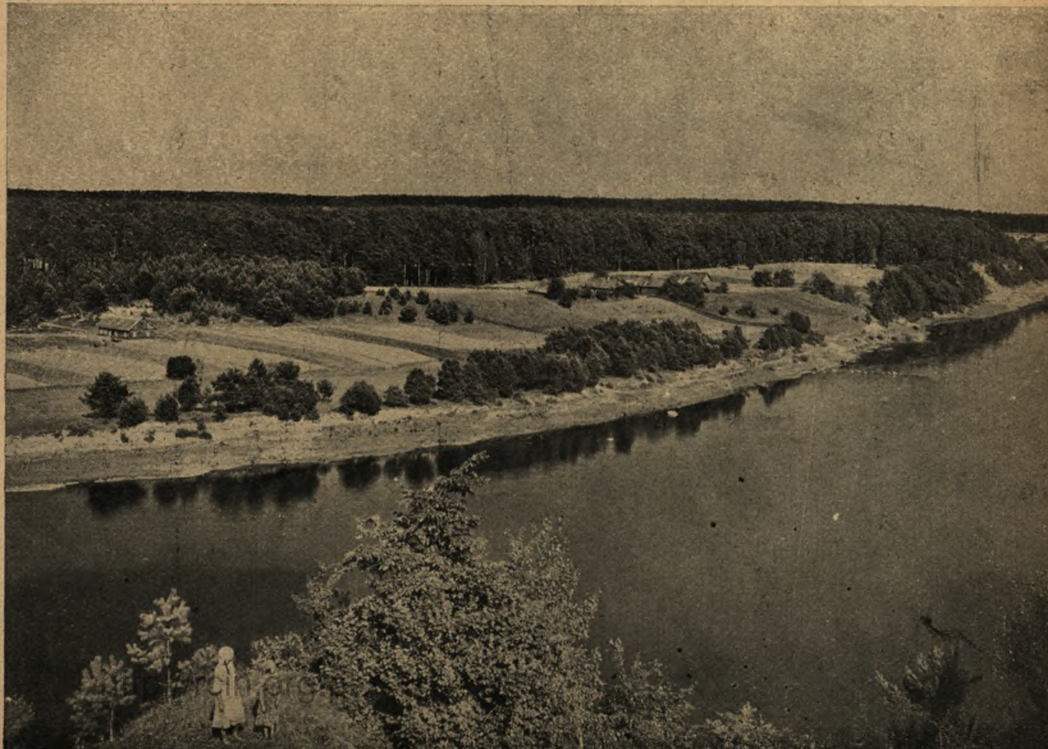


Letnicy w Połądze.

jego klientami są żydzi handlarze z Wileńszczyzny. „Coraz trudniej”, mówi mi, „nie tylko mnie staremu, ale i całej Litwie. Dawniej była nadzieja na panów z Warszawy, co to byli i radzili w Kownie, jeździli nawet do Poniewieża i do Sugint po trumnę matki Panamarszałkowej... Ale panowie odjechali, a z Polską zgody jak nie było, tak nie ma. — Nie da sobie rady nasza Litwa sama, oj nie!”... —

W licznych bajorach odbijało się coraz wyraźniej zimowe słońce. Po obu stronach drogi wyrastały przed nami coraz to inne, przepiękne krzyże drewniane, strzelające ku niebu wyciągniętymi ramionami...

Jeszcze godzina i nasza zabłocona bryczka zatrzymała się przed trzema, czy czterema złączonymi ze sobą wagonami kolejowymi, którym nadano godność przystanku. Ta uboga stacyjka przypomniała mi dawny okres okupacji. Z jednego z wagonów zrobiono coś w rodzaju poczekalni. Napełniał ją po brzegi mdły zaduch taniego tytoniu i butów juchtowych. Spały tu w pozycji siedzącej dwie czy trzy rodziny włościańskie w oczekiwaniu na pociąg do Kowna, który odwiedza te strony raz w ciągu doby. Jakiż nieoczekiwany kontrast po niedawnej mojej podróży wagonami naszej P. K. P.! Wreszcie ukazuje się na peronie zielony żandarm litewski z wielkim mosiężnym kaskiem i „pogonią”. Oznacza to rychłe nadejście „traukienie” czyli pociągu. Jakoż zbliża się długim wężem. Rozpoznaję dobrze antyczne, okupacyjne wagony niemieckie. Nic się w nich nie zmieniło, tylko na zmurszałym lakie-



Niemen pod Kownem.



Gmach uniwersytecki.



Opera kowieńska.



Litewski Bank Państwa.

rze widnieją nowe, czerwone napisy — „Lietuvos geliżenkeli" — litewskie koleje żelazne. Odjazd. — Za trzy godziny będziemy w stolicy państwa.

Sapiąc i dymiąc posuwał się zwolna naprzód towarowo-osobowy „ekspres" litewski. Już sam skład pociągu i antyczność wagonów „okupacyjnych", zdezelowanych i brudnych, nie usposabiał optymistycznie na przyszłość. Tak to już bowiem bywa, że człowiek słusznie czy — niesłusznie skłonny jest do porównań i horoskopów na przyszłość. Przyznaję, że o wiele lepiej wyobrażałem sobie stan kolejnictwa litewskiego. Przede mną ściele się wciąż bezbrzeżna równina, jaką oglądałem kilka godzin temu z wyżyn mojej bryczki.

Stacyjki przeważnie nędzne, sklecone ze starych wagonów lub w najlepszym razie drewniane baraki z czasów wojny. Ale na każdej z nich salutuje nas „zielony" żandarm litewski, taki sam jak strażnik graniczny spod Meitene. Z szarych, jak dzień grudniowy, rozmyślań budzi mnie grono towarzyszów podróży, którzy właśnie wsiedli do pociągu na jakiejś statyjce: starszy ksiądz i wyglądający z waszecia, jak się później okazało, drobni gospodarze wiejscy z Wiłkomierskiego. Ktoś zwraca się do mnie, oczywiście po litewsku, zapytując o cel podróży. Jestem przerażony, ale nie daję tego po sobie poznać. Wręcz przeciwnie, uzbrajam się w myśli w kilka wyrażeń litewskich i odpowiadam, jak się okazało, o tyle poprawnie, że rozmowa jest nawiązana. — Muszę przyznać, że w ciągu tych kilku godzin podróży dowiedziałem się wiele, zorientowałem się przede wszystkim w splocie spraw politycznych i gospodarczych. Mój sumiasty woźnica miał słuszność — na Litwie minęły już czasy „prosperity", ceny zboża spadają, na wsi nie jest już tak zasobnie, jak przed dwoma laty. Siwy proboszcz wiejski narzeka na upadek religijności, tak mocno na Litwie zakorzenionej, rzuca gromy na wybuchające w ostatnich czasach raz po raz bunty chłopskie, które podobno mają podłoże polityczne. Sielanka wsi litewskiej, o której wiemy sporo z „Pana Tadeusza", należy, zdaniem mych współtowarzyszów, do przeszłości. —

O polityce mówimy jednak półgębkiem i bardzo ostrożnie. Litwin bowiem z natury jest podejrzliwy. Polak zaś, taki „nielegalny" jak ja, nie może, zwłaszcza w tych warunkach, zdradzić swego incognito. Rozmowa nasza nie kleiła się. Rytmiczny stukot kół zrobił swoje. Za chwilę ogo-

rzały ksiądz proboszcz cicho usnął nad brewiarzem, dwaj panowie zaś niepostrzeżenie wysiedli. Jeszcze pół godziny, a pociąg nasz wtoczył się przed brązowy czworobok Dworca z czarnym wielkim napisem — „Kaunas" i nieodzowną pogonią. Więc jestem w Kownie po latach dwudziestu, kiedy czterdziestotysięcznej mieścinie gubernialnej nie śniło się o zaszczycie zostania stolicą państwa litewskiego.

Kowno sprzed wojny, a dzisiejsze — Kaunas to dwa zgoła niepodobne do siebie miasta. Przed Dworcem nie widzę już dawnych rosyjskich dorożek, znikł przysłowiowy konny tramwaj. Na ich miejsce wita mnie, jak na Zachodzie, sznur wcale porządnych taksówek, jak się niebawem przekonałem — najdroższych w Europie... Dzisiejsze Kaunas, jak się tu mówi — „tymczasowa" stolica Litwy, rozbudowało się, trzeba przyznać, z rozmachem. Na gruzach dawnych koszarowych rosyjskich budowli wzniesiono za pieniądze litewskiej emigracji zza oceanu kilka dziesiątków wielkich gmachów reprezentacyjnych, ministerstwa, banki i chlubę miasta — Uniwersytet Witolda Wielkiego. Wprost od Dworca prowadzi nas ku centrum miasta szeroka, starannie pokryta asfaltem, Aleja Wolności (Laisves aleja). Z okien pojazdu mogę zaobserwować ruch uliczny, bardzo ożywiony — jest to bowiem godzina masowego powrotu z biur i urzędów. Samo miasto — jak się nazajutrz mogłem przekonać, zawiera w sobie dużo kontrastów. Dość przyjrzeć się centrum z jego nowymi gmachami rządowymi, a za chwilę podążyć w dzielnice starego Kowna, ku Bazylice Katedralnej, aby zauważyć, że są tu jak gdyby *dwa miasta w jednym*. U stóp nowoczesnych elewacji leży w spokoju dawne, zaciszne Kowno z czasów mickiewiczowskich. Małe, drewniane dworki z przyległymi do nich „świrnami" i werandą, kryjące w sobie tyle wspomnień, oddzielone od ulicy nieskalaną bielą nakrochmalonych na sposób litewski „zazdrostek" — oto reminiscencje z epoki przedwojennej, kiedy nie znano jeszcze nienawiści do Polski, ani psychozy walki o Wilno... Ale czas ucieka. Wracam więc od modrzewiowych dworków, do centrum życia politycznego. Wchodzę znużony do najmodniejszej obecnie w Kownie cukierni „Kavinie Aldona", gdzie w godzinach popołudniowych koncentruje się „high life" tutejszy — świat polityczny i... plotki prowincjo-



Kościół farny w Kiejdanach.



Tratwy na Niemnie.



Nowoczesna architektura Kowna.



Kapliczka pod Dorbianami.

nalne. Bo stutysięczna stolica Litwy, pomimo pozory wielkomiejskiego ruchu, to przecież partykularz. W cukierni zastaję tłumy ludzi, nie słyszę tam jednak ani zgiełku rozmów, ani (dzięki Bogu!) hałaśliwego jazzu. Większość gości „Kavinie" zaczytanych jest w pismach codziennych, ktoś podaje mi „Lietuvos Aidas" — organ rządu obecnego, znany z nieustannych napaści na Polskę. — — Dookoła słyszę język litewski, rzadziej rosyjski, a już żydzi, których Kowno liczy około 20%, nie pokazują się zupełnie w tym lokalu. Przyglądam się z zaciekawieniem obecnym. Stroje pań na ogół dostatnie, chociaż nie zauważam w nich zbytniej elegancji ani gustu. W rogu każdej sali stoi, ubrana w ludowe wycinanki żmudzkie, choinka.

Około siódmej wieczorem kawiarnia zaczyna pustoszeć, większość bowiem jej bywalców udaje się bądź na wieczerzę, bądź do teatru, będącego jedną z najbardziej ulubionych w Kownie rozrywek.



Kudyrka — litewski poeta ludowy.

Teatr kowieński, mieszczący się dość daleko od centrum, łączy w sobie trzy rodzaje sztuki: dramat, operę i balet. Powstał on przed laty osiemnastu głównie dzięki inicjatywie „króla tenorów" litewskich, jakim jest dotąd *Kipras Petrauskas*. Grono entuzjastów teatru z Szimkusem i Petrauskasem na czele stworzyło podwaliny dla obecnej sceny operowej. Tu muszę wspomnieć bodaj syntetycznie o rozwoju muzyki na Litwie oraz, co może ważniejsze, o wielkiej muzykalności ludu litewskiego. Posiada on dwie osobliwości, w innych krajach nie spotykane: — kilkadziesiąt tysięcy pieśni, zwanych „dainami" oraz, co ważniejsze, wrodzoną skłonność do wielogłosowości. Kilku włościan, spotykających się przypadkowo na odpuście, śpiewa „ex promptu" pieśni nabożne na dwa lub więcej głosów. Ta nieuczona skłonność do harmonii oczywiście — dość prymitywnej — stanowi, zdaniem moim, osobliwość artystyczną nie mniejszej wagi, niż kilka tysięcy rzeźbionych w drzewie figur i krzyżów, rozsianych po całym kraju.

Dlatego to zapewne, że śpiew i to śpiew chóralny stanowi naturalną skłonność ludu wiejskiego na Litwie, pierwszym etapem rozwoju muzyki

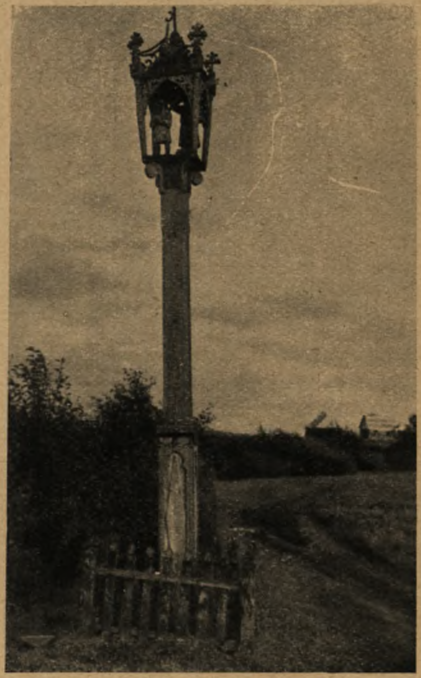


Figura św. Jana.



Na drogach litewskich.



Litewskie krzyże przydrożne.

litewskiej był wokalizm. Ściśle z tym się łączy rozwój śpiewu chóralnego, a w naturalnej jego konsekwencji — umiłowanie opery.

Pierwszymi pionierami pieśni stali się jeszcze przed wojną organiści, począwszy od wiejskich, kończąc na wybitnym kompozytorze, Józefie Naujalisie, który z powodu śmierci opuścił pulpit organisty Katedry Kowieńskiej.

Niemniej od niego zasłużeni dla muzyki litewskiej są Szimkus i wspomniany już Petrauskas, pierwszy tenor opery w Kownie. Myśli o muzyce tego kraju towarzyszyły mi w wędrówce do gmachu teatru, gdzie mogłem spędzić jeden z nielicznych wieczorów, słuchając „Fausta" — po litewsku. Teatr może pomieścić najmniej 700 osób, scena niewielka, orkiestra, jeśli mnie wzrok nie omylił, liczy około 40 członków. Muszę jednak przyznać, że takiego skupienia na sali dawno już nie spotkałem. Przedstawienie zaczyna się z radiową punktualnością, przy każdym fotelu lornetka i program. Nastrój na sali uroczysty, chociaż nie jest to żadna premiera. Litewszczyzna brzmi śpiewnie, zwłaszcza że w rolach głównych widniały takie znakomitości kowieńskie, jak Petrauskas i Grigajtiene. Snać Litwa umie cenić swoich artystów, skoro niedawny obchód jubileuszu 25-letniej pracy artystycznej Petrauskasa zmienił się podobno w spontaniczną manifestację całego kraju. Nic w tym dziwnego, jeżeli się wie, że jubilat przyczynił się w pierwszych dniach niepodległości litewskiej do powstania opery. Był jeszcze między muzykami kowieńskimi wielki, na miarę europejską, o którym dziś mało u nas wiadomo, *Mikołaj Cziurlionis* — muzyk i malarz wizjoner w jednej osobie, to postać w sztuce Litwy może najwybitniejsza. Wykształcony w Polsce (ukończył klasę kompozycji u Noskowskiego i malarstwa u samego Wyspiańskiego), sięgnął on w swoich pomysłach twórczych daleko dalej, niżby sobie na to mogła pozwo-



Kościołek z 1633 roku.



Stara dzwonnica.



Oryginalny krzyż przydrożny.



Płaskorzeźba ludowa.



Cmentarnik.



Celnicy litewscy przy pracy.



Rękawice ludowe.



Seminarium Nauczycielskie w Kownie.

Kowieńska straż ogniowa.

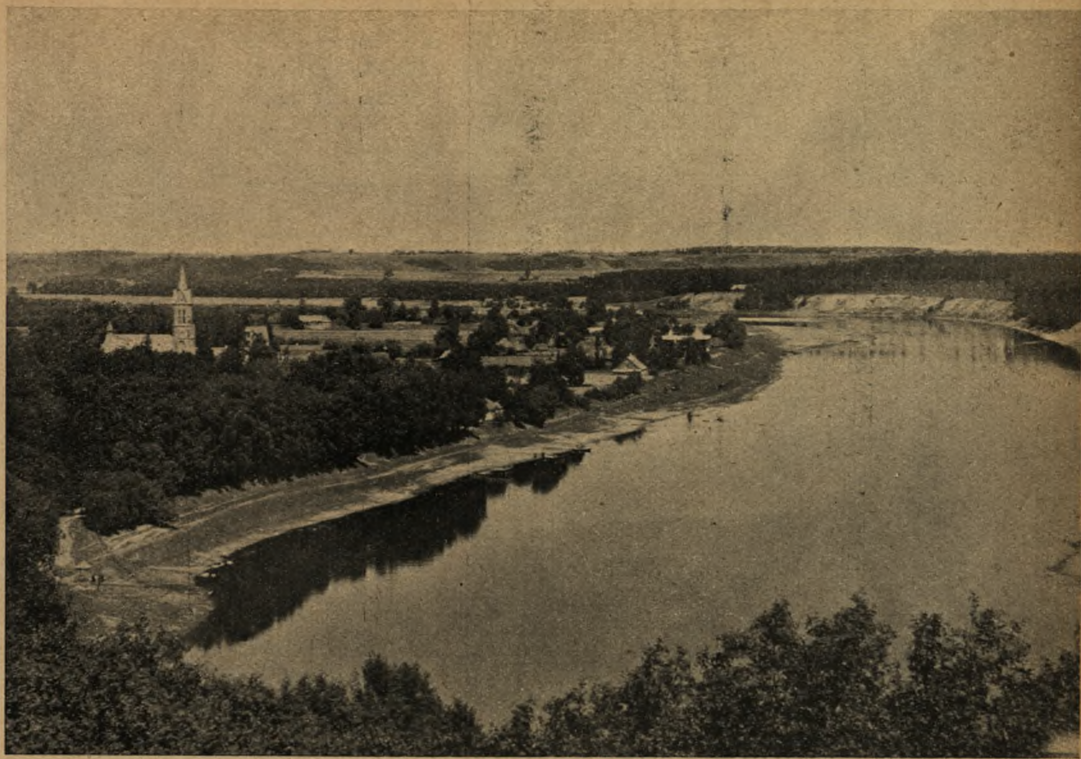


Klasztor PP. Benedyktynek.





Kapliczka przydrożna.



Niemen pod Kłajpedą.

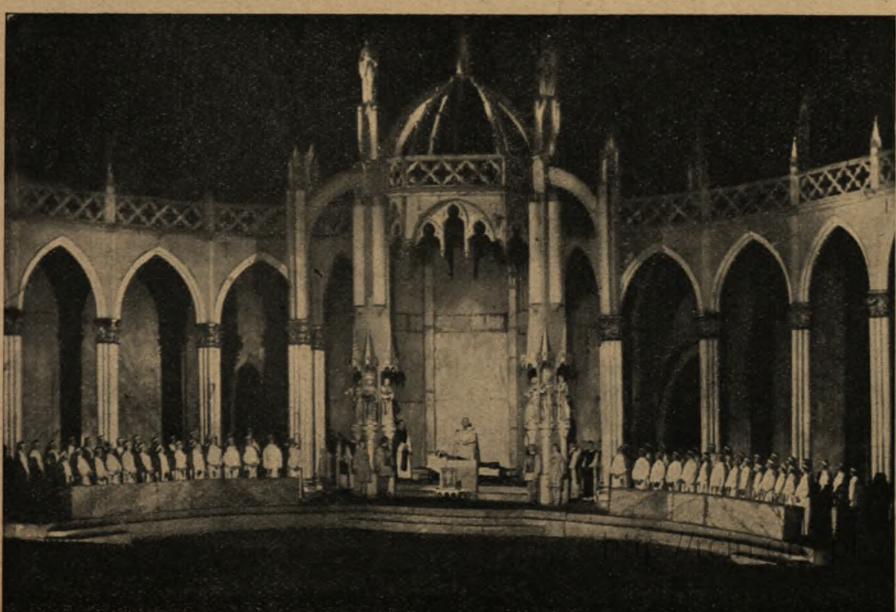


Olbrzymi meteor (spadł w Kowieńczyźnie).

Wnętrze chaty.



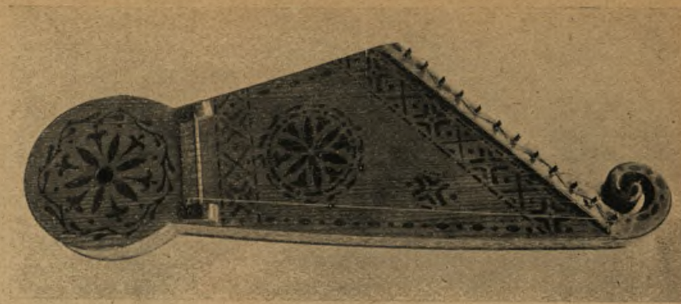
Scena z „Parsifala".





Obok na prawo od góry: *„Kanklis", antyczny instument litewski.*

Od dołu: *Wyroby ludowe.*





Obok na lewo od góry: *Litwinka w stroju ludowym.*

Od dołu: *Muzyk litewski Grodis.*





Małe Litwinki w strojach ludowych.

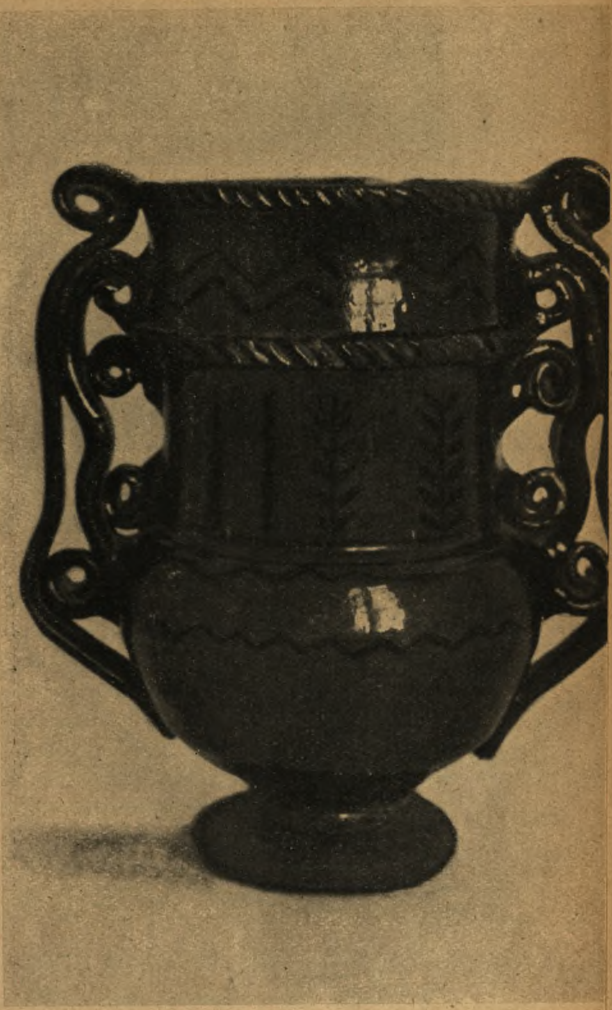
lić kultura ówczesnej Litwy. Rzecz dziwna: — Cziurlionis-kompozytor znajdował zawsze uzupełnienie w dziełach Cziurlionisa-malarza. Nawet kompozycje jego, jakie oglądałem w gablotkach muzealnych, zawsze mają jako motto jakiś wizyjny obraz. Trudno jest dzisiaj orzec, *który z tych dwu ludzi* był bardziej genialny. Z chwilą powstania niepodległej Litwy, Cziurlionis stał się istnym bożyszczem. Wzniesiono w centrum Kowna specjalne muzeum jego imienia, zawierające większość prac malarskich i muzycznych Cziurlionisa, muzycy tamtejsi wymawiają jego nazwisko z nabożeństwem. Sam się mogłem przekonać, spędzając jedno przedpołudnie w tym muzeum, że istotnie nie ma w tym przesady. Mikołaj Cziurlionis zasługuje w zupełności na miano wielkiego artysty, przerastającego o wiele poziom kulturalny swojej ojczyzny. Na zakończenie zwiedziłem Uniwersytet, liczący ponad 5 tys. akademików.

Syt wrażeń miejskich udałem się wreszcie w parę dni później na szczerą wieś litewską, aby z bliska przypatrzeć się życiu ludu wiejskiego, stanowiącego, jak wiadomo, przeszło trzy czwarte mieszkańców Litwy. Na szczęście obfita sieć połączeń autokarowych łączy prowincję z Kownem, mogłem więc uniknąć niewygód podróży kolejami litewskimi. Przy

tym z okien autokaru łatwiej jest przyjrzeć się krajobrazowi, zwłaszcza że drogi nie są gładkie, co za tym idzie, żółty nasz wóz posuwa się ostrożnie często przystając. I znowu krzyże przydrożne, jakże pięknie w drzewie rzeźbione! Oko spoczywa na ich niezwykłych kształtach z zadowoleniem, a myśl idzie ku tamtym, dawnym czasom z „Pana Tadeusza"... Otóż i kres podróży — jedna ze starszych wsi kościelnych pod Poniewieżem. W środku wsi, gdzie wysiadamy, mieści się oczywiście rynek kościelny, obok stragany i... nieodzowny, jak u nas, szynk, rzecz prosta — żydowski. Wieś jednak nie grupuje się, jak w Polsce, dookoła świątyni, lecz ciągnie się długą aleją po obie strony rynku. Chaty, jak dawniej, słomą lub gontem kryte, nieopodal nieodzowny „świronek". — Rozprostowuję znużone kilkogodzinną jazdą członki i pukam odważnie do jednej z chat, na los szczęścia. Otwierają mi jakby nieufnie, ale litewskie „Tegul bus pogarbintas"... (Pochwalony!) rozwiązuje usta. Gospodarze nie są zdziwieni moją nieproszoną wizytą. Mówią mi, że w poniewieskie

Tańce ludowe.







Obok na prawo od góry:
Ceramika litewska.

Od dołu:
Młoda Litwinka.



Obok na lewo:
Typy ludowe.



Droga litewska.

wam przechadzkę poobiednią po wsi. Na rynku widnieje zielony szyld wielkiej spółdzielni litewskiej — Pienocentras. Dwieście kilkadziesiąt filii tej spółdzelni rozrzucono po całym kraju. Tu koncentruje sę zakup i eksport przetworów mlecznych — główna pozycja obok bekonów) handlu zagranicznego państwa. Nieopodal sklep Werslasu, zawierający niezbędne narzędzia rolnicze. Włościanie mówią mi o zbyt wysokiej cenie narzędzi i fosfatów. Na tym pono tle dochodzi do częstych obecnie rozruchów chłopskich. Chłop litewski jest uświadomiony politycznie, orientuje się dobrze w w sytucji międzynarodowej. Nie widzę w nim jednak nienawiści do Pol-

przybywa co niedzielę wielu cudzoziemców, gdyż okolice te są najbardziej malownicze. I jeszcze jeden magnes: w tych stronach istnieje największa ilość warsztatów tkackich, wyrabiających makaty, kilimy ludowe i hafty. Chata litewska dzieli się na dwie izby — codzienną i świąteczną. W pośrodku między nimi mieści się często żywy przychówek.



Ruiny zamku Kiejstuta.

Prowadzą mnie oczywiście przede wszystkim do izby „świątecznej", gdzie obok licznych obrazów świętych zauważam i naszą Ostrobramską nawet z dawnym, polskim napisem. Na ścianach „salonu" wiejskiego aż roi się od prac rękodzielniczych, wykonywanych ubiegłej jesieni przez dziewczęta. Zapytuję o zbyt tych przedmiotów. „Często bardzo — mówi mi siwowłosa gospodyni — mamy zamówienia do Kaunas (Kowna), albo przyjedzie wycieczka cudzoziemców. zresztą robimy je *dla siebie*"... Te słowa wydały mi się bardzo charakrystyczne. W czasach tak bardzo ciężkich, zamiłowania estetyczne, w tej formie wypowiedziane, są czymś bardzo osobliwym. Po obejrzeniu „salonu" przeszliśmy wraz z gospodarzami do tak zwanej „izby na co dzień". Czysto, schludnie i słonecznie, pod oknem dwa czy trzy kołowrotki, z powodu niedzieli nieczynne, a jasnowłosa, litewska Małgorzata, lekko zapłoniona na mój widok, ukryła się w pośpiechu za przyzbą... Zapach świeżego jeszcze razowca napełniał izbę — i budził niekłamany apetyt. Za chwilę, jak dawni znajomi, raczyliśmy się wspólnie pysznymi kołdunami, smaku których nawet w przybliżeniu nie umiałbym opisać... W rozmowie starałem się dowiedzieć jak najwięcej o życiu wsi. Ani śladu tego dobrobytu, jaki zwykło się spotykać w Szwecji i Danii. Oczywiście ani telefonu, ani radia, natomiast bardzo wiele książek, nie tylko religjnych oraz pism. Analfabetyzm na Litwie wynosi zaledwie 10% głównie wpośród starszej generacji. Moi gospodarze informują mnie o życiu wiejskim, wspólnie z nimi odbyski, która w rozliczny sposób rzucała mi się w oczy w Kownie. Pamiętam, ża na każdym kroku, w poczekalni kolejowej, czy w sklepach widziałem te same, stereotypowe tobliczki z napisem: „Odbierzemy Wilno" — lub — „Pamiętajmy o Wilnie". Mówiła mi również o tym powszechnie używana nazwa „tymczasowej stolicy", jaką nosi obecnie Kowno. —

Nie przypuszczałem jednak, zwłaszcza będąc tak mile przyjęty na wsi, że psychoza litewsko-polska doszła już do granic — humorystycznych. Na kupionym pudełku zapałek ujrzałem ni mniej, ni więcej, jak rysunek wilka litewskiego, wyjącego ku widzianej w perspektywie... wileńskiej wieży zamkowej. — To pudełko zapałek powiedziało mi o wiele więcej o nastrojach politycznych w stosunku do nas, niż pisma i własne obserwacje. Opuszczałem Litwę z wrażeniem, że nienawiść ku nam szerzy się tam sztucznie. Nie leży ona w charakterze ludu, jednego z najbardziej katolickich w Europie.

Moja odyseja skończyła się tym właśnie spostrzeżeniem. Już i dlatego samego warto było zaryzykować ciekawą i pozornie niebezpieczną podróż na Litwę. —

Dr FRANCISZEK STURM

RELIGIJNOŚĆ A PRZYROST NATURALNY

Jak z jednej strony byłoby nonsensem chcieć „usprawiedliwiać” chrześcijaństwo ze względu na błogosławione i zbawienne skutki, jakie ono wywiera na społeczeństwo, naród i państwo, tak z drugiej strony byłoby grubym błędem, gdyby ktoś, omotany siecią spirytualistycznych poglądów, pragnął lekce sobie ważyć albo zgoła pomijać ziemskie wartości, jakie stwarza względnie umożliwia chrześcijaństwo. Toteż chrześcijańscy apologeci wszystkich czasów podejmując obronę chrześcijaństwa przeciw poganom i żydom kładli zawsze wielki nacisk na to, by — uwypuklając doczesne błogosławieństwo, jakie spływa z chrześcijańskiej nauki zbawienia i z jej wypełniania — wykazać, że cnota chrześcijańska przydaje się do wszystkiego, a w ten sposób udostępnić przypływ łaski na świat również tym, którzy wzrok swój zgoła nieruchomo w doczesność utkwili.

Ta apologetyczna metoda, która naturalnie może być użyta tylko jako pewne uzupełnienie, okazuje się obecnie znowu w szczególny sposób aktualną, gdyż pozwala, na przekór wyłącznie światem immanentnym argumentującym przeciwnikom chrześcijaństwa, wysunąć na światło dzienne wysokie wartości, jakie świat kulturalny, społeczny i polityczny zawdzięcza chrześcijaństwu, oraz podaje zarazem możność wskazania na ciężkie, doczesne szkody, które zawsze towarzyszą zanikowi chrześcijańskiej religijności i moralności. Charakterystyczny przykład pod tym względem przedstawia problem urodzin. Statystyki ludnościowe w prawie wszystkich europejskich krajach stwierdzają odbywający się z zastraszającą szybkością spadek urodzin, który wydaje się „niewidoczny” tylko wskutek paralelnie zachodzącego zniżenia liczby zgonów. Statystyki te szukają głębszych przyczyn wysychania źródła rozrodczości i muszą dzisiaj wyznać, że tak zwane „zaciskanie pasa”, które przez długi czas uchodziło za wystarczający powód dla wyjaśnienia spadku urodzin, nie może być pod tym względem czynnikiem rozstrzygającym, ponieważ, jeśli chodzi o ten „strajk urodzin”, to nie wchodzą tu w grę przede wszystkim niższe — a więc ekonomicznie źle sytuowane warstwy ludności, lecz raczej zwłaszcza wyższe i średnie klasy społeczne. Przyczyny, dla której ludzie przestają słuchać przykazania Boskiego: „Mnóżcie się i wypełniajcie ziemię”, należy więc szukać gdzie indziej, niźli w dziedzinie gospodarczej. Problem urodzin jest w swych najgłębszych pokładach zagadnieniem religijno-moralnym, to znaczy istnieje logiczny związek między religijną świadomością odpowiedzialności a przyrostem naturalnym. Podczas gdy wszystkie czysto humanitarne poglądy życiowe i laickie etyki uważają nie tylko za dopuszczalne sztuczne ograniczanie urodzin, lecz w pewnych okolicznościach, mianowicie gdy chodzi o osiągnięcie wyższej stopy życiowej i kulturalnej, nawet je polecają, to Kościół, to chrześcijaństwo zawsze i bez jakiegoś bodaj najmniejszego odstępstwa głosiło zasadę, że wszelkie pogwałcenie natury w życiu małżeńskim urasta do rozmiarów ciężkiego grzechu, buntu przeciw ustanowionemu przez Boga moralnemu porządkowi. Jest rzeczą jasną, że ta jednolita nauka chrześcijańska musiała wywrzeć rozstrzygający wpływ na życie społeczne. Ci, którzy — nie tylko słowami, lecz czynami i prawdą — przyznają się do chrześcijaństwa, nie mogą się wcale obwiniać o sztuczne ograniczanie przyrostu naturalnego, podczas gdy obojętni pod względem religijnym i gardzący chrześcijaństwem czują się zupełnie wolni od więzów, które nakłada naturalne prawo małżeńskie, tkwiące swymi korzeniami w woli Bożej.

Brakuje dziś jeszcze obszernych badań statystycznych, które wykazują, że tam wszędzie, gdzie żywa jest jeszcze atmosfera religijna, „wierna naturze normalna rodzina”, to znaczy rodzina bogata w przyrost naturalny stanowi powszednią regułę, a przeciwnie, wraz z zanikiem religijności idzie w parze spadek urodzin. Mimo to są już pewne wysiłki w kierunku takich statystyk porównawczych, które zapewne mogą być zestawione przeważnie pod zewnętrznym kątem widzenia przynależności wyznaniowej i dlatego zawierają konieczne błędy źródłowe, ponieważ formalne wyznanie religijne nie jest jeszcze równoznaczne z wolą ukształtowania życia podług zasad religijnych. Można jednakże z takich statystycznych badań wysnuć bardzo ważne wnioski, które nawet uwzględniwszy wskazane błędy źródłowe, posiadają jeszcze doniosłą siłę dowodową dla postawionej przez nas tezy. A. Krose ogłasza na łamach lipcowego numeru czasopisma „Stimmen der Zeit” niektóre charakterystyczne tego rodzaju statystyki. Ustala, że według spisu ludności Rzeszy Niemieckiej z czerwca 1933 roku więcej niż trzy piąte (62,9 procent) wszystkich małżeństw było ubogich w przyrost naturalny względnie bezdzietnych. Nazwą ubogich w przyrost naturalny oznaczono te małżeństwa, które nie osiągają najmniejszej liczby przeciętnie trojga dzieci, czyli cyfry, jaka jest wymagana do utrzymania obecnego stanu zaludnienia. Państwowy Urząd Statystyczny próbował w swoich wykazach porównawczych uwzględnić stosunek zachodzący między wyznaniem religijnym a liczbą dzieci. Poczyniono mianowicie próby fragmentaryczne w obwodach należących do Wrocławia, Düsseldorfu i Palatynatu, przy czym brano pod uwagę tylko wyznanie żony, natomiast sprawa najwyższej doniosłości, mianowicie czy chodzi o małżeństwa mieszane czy też czysto katolickie, została pominięta. Wyniki tych prób fragmentarycznych były następujące: Na 100 żon, które w aktualnym małżeństwie urodziły czworo lub więcej dzieci, było w okręgu — Wrocław 27,7 ewangeliczek, 30,9 katoliczek i 23,6 innych wyznań; w okręgu Düsseldorf 18,9 ewangeliczek, 27,2 katoliczek i 17,2 innych wyznań; w okręgu Palatynat 24,8 ewangeliczek, 31,2 katoliczek i 22,7 innych wyznań. Jakkolwiek, jak wyżej powiedziano, nieuwzględnienie przynależności wyznaniowej męża obniża znacznie wartość tej statystyki, to jednak wykazuje ona większy przyrost naturalny w rodzinach, których matkami są katoliczki, niźli w rodzinach, których matkami są ewangeliczki.

Istotnie bardziej zaufania godnymi są wykazy ankiety prywatnej, podjętej przez prof. dra Schmidt-Kehla, a której wyniki ukazały się na łamach „Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie” (Bd. 27, 1933) pod tytułem „Płodność środkowo i południowo niemieckich małżeństw wieśniaczych, zawartych w latach 1918—1922. Wynikało z tych zestawień, że w podobnych zupełnie zewnętrznych warunkach, na małżeństwa, żyjące ze sobą 10 — 14 lat, przypadło średnio u wieśniaków ewangelickich 2,55, u wieśniaków zaś katolickich 3,80 dzieci; na katolickie zatem małżeństwa przypadało o całe 50 procent więcej niżli na ewangelickie.

Uzupełnienie do tego porównania stanowią badania podjęte przez prof. Loefflera, które odnoszą się do małżeńskiej płodności ewangelickich i katolickich nauczycieli ludowych Wirtembergii. Wyniki dotyczące tak zwanych „małżeństw skończonych" (tj. takich, w których żony mają ponad 47 lat) były następujące: Na ewangelickie małżeństwo nauczycielskie przypadało 2,84, a na katolickie małżeństwo nauczycielskie 4,86 dzieci. Wyższa cyfra przyrostu naturalnego u katolickich małżeństw nauczycielskich jest zatem całkiem widoczna.

Wielkie wyjaśniające znaczenie dla związków zachodzących między religijnością a przyrostem naturalnym mają opublikowane przez Kościelny Urząd Statystyczny Niemieckiego Ewangelickiego Kościoła studia nad przyrostem naturalnym u ewangelickich rodzin pastorskich. Badania rozciągały się na 7 okręgów obserwacyjnych (Hannower, wewnętrzna i zewnętrzna Miśnia, Westfalia, Prusy Wschodnie, Badenia, Śląsk, Palatynat). Objęły ogółem 4.397 ewangelickich rodzin pastorskich z przeciętnie po 2,9 urodzonych dzieci. O absolutnym przyroście naturalnym ewangelickich rodzin pastorskich nie można mówić na podstawie tych liczb — stosunki pod tym względem zmieniły się istotnie u schyłku XIX stulecia; mimo to statystyka podaje, że ewangelickie rodziny pastorskie, w których na sto par małżeńskich przypada 35,64 małżeństw z przyrostem naturalnym, wynoszącym więcej niż troje dzieci, cieszą się istotnie większą liczbą urodzin niżli w ogóle niemieckie rodziny urzędnicze, w których na 100 par małżeńskich przeciętnie tylko 20,3 miało więcej ponad troje dzieci.

Po stronie katolickiej najbliżej ewangelickich rodzin pastorskich stoją te rodziny katolickie, spośród których rekrutuje się przeważnie młode pokolenie katolickiego duchowieństwa. Chodzi tu przede wszystkim o takie rodziny, „z których już od wieków poszczególni członkowie poświęcają się ciągle stanowi kapłańskiemu i zakonnemu, w których zatem powołanie duchowne, podobnie jak u ewangelickich rodzin pastorskich, jest pewnego rodzaju tradycją". Dr E. Leclerc na podstawie ankiety, przeprowadzonej za pośrednictwem władz przełożonych seminariów duchownych i konwiktów duchownych Rzeszy Niemieckiej, ustalił przyrost naturalny w rodzinach, z których pochodzili odbywający w dniu 1 czerwca 1934 roku studia teologiczne. Badania jego objęły 4.508 rodzin, które ogółem liczyły 26.852 dzieci. Przeciętnie przypadało na każdą z tych rodzin 5,95 dzieci. Dr Leclerc porównał wyniki swej statystyki z wynikami statystyki niemieckich szkół wyższych w półroczu zimowym 1933-34; przy czym doszedł do wniosku, że młodzież, która poświęciła się stanowi duchownemu, tylko w 25 procentach pochodziła z rodzin wieśniaczych, co stwierdza, że nie przynależność do stanu włościańskiego, lecz religijność rodziny stanowi wyjaśnienie wielkiego przyrostu naturalnego rodzin, z których pochodzą katoliccy kapłani.

O ile przeciwnicy celibatu wskazują na straty, jakie pod względem przyrostu naturalnego ponosi naród z powodu bezżenności kapłanów i zakonników, to należy podkreślić tu statystycznie udowodniony fakt, że ścisłe, surowe katolickie normy moralne, które zobowiązują do prowadzenia życia małżeńskiego zgodnie z wymogami prawa natury, posiadają tak wielkie znaczenie dla utrzymania egzystencji narodu, że mniemane „szkody narodowe", wynikające rzekomo z powodu celibatu, nie odgrywają w tym świetle zgoła najmniejszej bodaj roli.

JANINA WELKE SIWKOWSKA

ZWIASTOWANIE

Mała izdebka światłem jaśnieje ..
Jak tu czarownie, co się tu dzieje?
Pośrodku klęczy Dzieweczynka Święta
I w rozmodleniu — aż uśmiechnięta —
Chce ucałować Anioła stopy,
Co stanął przed Nią od blasków złoty ....
Powietrzem płynie, jak rajskie pienie,
Archaniołowe cud-pozdrowienie ...
Kiedy wymówił: „Tyś pełna Łaski ...
Wszystkie do czoła Jej przyszły blaski
I otoczyły główkę dziewczęcą
Złoto-czarowną świetlną otęczą.
„Błogosławiona wśród dziewic grona,
Czemuś tak smutna i zalękniona?
Matuchną będziesz Dzieciny Bożej ...
Niech się Twe czyste serce nie trwoży".
Zalane łzami cudne oczęta,
Wzniosła do góry Maryja Święta
I rozłożywszy drobne rączyny,
Jak na przyjęcie Bożej Dzieciny,
Rzekła cichutko: „Jam Służebnica" ...
I blask cudowny roztlił Jej lica.
Przed swym odejściem w rączynę małą
Włożył Jej Anioł lilijkę białą.
Z tym berłem dziewic w blaskach i kwiatach
Klęczał Najdroższy Skarb tego świata ...
I tak zostawił Święty Archanioł
Małą Dziewczynkę — Błękitów Panią ...

JÓZEF BIRKENMAJER

DROGA KRZYŻOWA

Krzyżowa każda w świecie jest droga,
krzyżowa, rozkrzyżowana,
jakby po każdej szła święta noga
naszego Zbawcy i Pana.
Na każdej drodze, jaka się ściele —
czy bliska, czy też daleka —
spotkać nas może upadków wiele
i cierpień wiele nas czeka.
Nieraz w tej drodze trud nas obali
i nieraz w drodze ustaniem —
nieraz staniemy, biedni, zwątpiali,
przed naszych dróg skrzyżowaniem.
Nieraz patrzymy z lękiem, bezradnie,
na one drogi rozstajne,
nie wiedząc, kędy iść nam wypadnie,
gdzie losy wiodą nas tajne.
Koniec dróg owych w dali gdzieś ginie —
i wzroku czujemy płoność,
widząc te proste czy zgięte linie,
co mogą wieść — w nieskończoność.
W nieskończoności — w wiecznym bezkresie —
kres będzie dróg naszych błędnych.
Wytyczne linie zawsze nam niesie
KRZYŻ — wielki układ spółrzędnych!
On, jak busola, swymi ramiony
wskazuje świata stron cztery —
jako znak Boga, jest rozciągniony
przez wszystkie wszechświata sfery.
On jest nam kluczem i drogowskazem
i znakiem błogosławieństwa,
słońca promieni jasnym obrazem
i świętym wzorem męczeństwa . . .
Krzyżowa każda w świecie jest droga,
i znakiem krzyża się kreśli — —
Każda nas wzywa — przykładem Boga —
byśmy krzyż po niej swój nieśli...

Inż. KAROL IWANICKI

FIGURA „CHRYSTUSA FRASOBLIWEGO"
NA ZIEMIACH POLSKI

Kultura ludu w pierwszym rzędzie objawia się w śpiewie, poezji i do pewnego stopnia tańcu — dalszymi objawami wyższego stopnia kultury lud wyrażał przy zastosowaniu materiałów — a więc budownictwo, ceramika, rzeźba, malarstwo, muzyka, tkactwo, haftarstwo itp.

Rzeźba od najprostszych form przekształca się w coraz poprawniejszą — u nas szczególnie to daje się łatwo zauważyć tam, gdzie znajduje się odpowiednie drzewo i miękki kamień.

Rzeźby ludowe, a szczególnie postacie Chrystusa, N. Maryi Panny i Świętych, są wynikiem dwóch elementów — czci i zdolności snycerskich.

W tych rzeźbach, a szczególnie w figurze Chrystusa frasobliwego, jasno występuje wczucie się w cierpienia Boga-Człowieka, i w każdym kraju naród chrześcijański, a w pierwszym rzędzie ludy katolickie — posiadają i posiadały całą liczbę świętych, których są oni zwykli odtwarzać w rzeźbie, z wyrazem twarzy, w układzie postaci i nawet w kolorystyce — w swoistym charakterze, przy czym dla postaci Najświętszej Maryi Panny i Jezusa, były zastosowane wyraźne, odmienne i uprzywilejowane typowe układy ciała, wyrazy twarzy i nawet zabarwienia polichromiczne, jak również i miejsca ich umieszczenia w kościołach.

Wszystkim jest dobrze znana typowa figura N. Maryi Panny z Chrystusem na ramieniu, przedstawiającą Ją stojącą w powłóczystej szacie, z koroną na głowie i z głową lekko pochyloną, sama postać Chrystusa


Figura ze wsi Obiedza, pow. nowo-sądeckiego.


Figura z pow. płockiego.


Figura z pow. tomaszowskiego.


Figura z Wiśnicza, pow. Bochnia.


Figura z nieznanej miejscow

Figura z Gorzenia Górnego, pow. wadowickiego.



Figura z pow. łęczyckiego. z r. 1814.



Figura z Gorzenia Górnego, pow. wadowickiego.



Figura z Lubelskiego Muzeum Diecezjalnego.





Figura z pow. tomaszowskiego, woj. lubelskiego.



Figura z kaplicy Boimów we Lwowie.



Figura z Pragi warszawskiej, wywieziona przez Rosjan w 1794 r.



Figura z Dąbrówki Wielkiej, pow. świętochłowickiego.

jest przedstawiona jako niemowlę na ramieniu N. Maryi Panny. Postać Dzieciątka jest najczęściej z rączką podniesioną ku błogosławieniu, jest nieodziana lub tylko w koszulince, lub przykryta częściowo płaszczem N. Maryi Panny. Ta charakterystyczna postać jest prototypem tysiąca innych rozsianych po całym świecie katolickim, a sama powstała i pochodzi z Francji.

We Włoszech, gdzie wpływy rzeźb rzymskich i greckich właściwie nigdy nie przestawały istnieć, żadna postać bądź świętych, bądź N. M. Panny lub Chrystusa nie stały się tak typowymi jak postać Najśw. Matki z Ciałem, zdjętym z krzyża, Chrystusa na kolanach, ta rzeźba ogólnie znana pod mianem „Pietà" może być uznana za prototypową rzeźbę włoską.



Figura z Góry Kalwarii, pow. warszawskiego.



Figura z cmentarza w Jednorożcu, pow. przasnyskiego.



Figura z województwa krakowskiego.



Figura z Kamienia, pow. świętochłowickiego.

Figura z kościoła Św. Krzyża w Krakowie.



Figura z kościoła Farnego w Biłgoraju.



Figura z kościoła w Bugaju, pow. gorlickiego.



Figura przy drodze do Wiecka, pow. świętochłowickiego.





Figura z Miszewa Murowanego, pow. płockiego.



Figura z Muzeum w Nowogrodzie nad Narwią.



Figura z Muzeum Etnograficznego w Krakowie.



Figura z Bieńkówki, pow. wadowick

Niemcy katolickie z Bawarią i Tyrolem na czele wytworzyły u siebie typową rzeźbę pod postacią „Męki Pańskiej" na krzyżu, i ten układ ukrzyżowanego Chrystusa z lekko zwieszającą się głową, stał się tak typowym, iż wystarcza, by raz zobaczyć ten wyraz pełen dobroci i boleści, by od razu odróżnić Go od innych tego rodzaju.

Polacy mają również swój odrębny i typowy sposób odtwarzania postaci Chrystusa. W tych figurach ujęty jest moment, gdy po biczowaniu Jezus Chrystus jest w oczekiwaniu spełnienia wydanego przez żydów wyroku — ukrzyżowania Go. Moment ten, w którym pomimo swego Bóstwa — Chrystus w ciągu swego chwilowego pobytu na ziemi, poddaje się wszelkim cierpieniom ludzkim.



Figura ze wsi Jasienice, pow. bielskiego.



Figura z Muzeum Diecezjalnego w Tarnowie.



Kapliczka przydrożna w Barwałdzie, pow. wadowickiego.



Figura z Warszawskiego Muzeum Diecezjalnego.

Kapliczka-kolumna koło Łowicza.



Figura z Warszawskiego Muzeum Diecezjalnego.



Kolumna z figurą w ogrodzie miejskim w Opocznie.



Figura ze wsi Świdborek na Kurpiach.





Figury z okolic Zamościa.



Figura ze wsi Biedki, pow. przasnyskiego.



Figura spod Piekielnika.



Figura z Lasek, pow. warszawskiego.



Figura z kościoła Św. Katarzyny w Szczebrzeszynie.

Figura ta w Polsce powszechnie jest znaną pod nazwą „Chrystusa Frasobliwego" i przedstawia Chrystusa zamyślonego w głębokim skupieniu nad losem ludzkości, która Go nie zrozumiała, nie wyczuła i okazała się bezgranicznie niewdzięczną za te wszystkie łaski i dobrocie, którymi On tę ludzkość obdarzył. Ten właśnie moment z życia Jego jest bardzo trudny do dobrego ujęcia, jak pod względem idealistycznego wyczucia, tak anatomicznego i plastycznego oddania postaci Chrystusa Pana i dlatego różni mistrzowie rzeźbiarze bardzo odmiennie ten moment traktowali.

Jedni widzieli w Chrystusie tego Myśliciela, który zagłębił się w smutnych rozmyślaniach nad nicością i nikczemnością niewdzięcznej natury ludzkiej, i do takich figur bodaj czy nie najlepiej odtwarzających, odno-



Figura z Grybowa.

Figura z cmentarka katedralnego w Kamieńcu na Podolu.





Figura z pow. płońskiego.



Figura ze Sawina, pow. chełmskiego.



Figura z Bronowic Wielkich spod Krakowa.



Figura z cmentarza w Jednorożcu, pow. przasnyskiego.

si się figura z Kościoła OO. Dominikanów w Lublinie, z Kościoła Św. Krzyża w Krakowie, figura z Katedry Św. Jana we Lwowie, z Białego Dunajca, z Długosieła, z Miszowa Murowanego, ze szczytu kaplicy Boimów we Lwowie, z muzeum katedralnego Św. Jana w Warszawie i inne.

Inni rzeźbiarze doskonale zaś zdawali sobie sprawę, że takie czyny i postępowanie z Chrystusem — jak biczowanie a następnie ukrzyżowanie — nie mogą pozostać bez sądu i bez wymierzenia sprawiedliwości, i dlatego ci rzeźbiarze przedstawiali Chrystusa jako sędziego — więc w todze lub na krześle sędziowskim z wyrazem skupionym. Do takich figur odnoszą się rzeźby spod Piekielnika, z Bronowic Wielkich, z Żabna, z Katedry Włocławskiej, z Szczawni-



Figura ze Szczawnicy.



Figura z Warszawskiego Muzeum Diecezjalnego.



Figura z Żabna, pow. dąbrowskiego.

Figura ze Szczebrzeszyna Kołłątajów.





Figura z województwa krakowskiego.



Figura z pow. tomaszowskiego, woj. lubelskie.



Kolumna z figurą przy kościele OO. Bernardynów w Leżajsku.



Kolumna z figurą na cmentarku katedralnym w Kamieńcu na Podolu.



Figura z Jankowic pow. pszczyńskiego.

cy, z Jednorożca i Swidborku (na Kurpiach), z Dąbrówki Wielkiej i również bardzo wielu innych miejscowości.

Znowu inni rzeźbiarze zeznawali, iż Chrystus tylko jako człowiek, który przyjął na siebie męczeństwo podlegał katuszom — lecz jako Bóg nigdy nie przestawał być naszym Królem i Panem, i dlatego przedstawiają Go jako Króla z pogodną twarzą, w płaszczu i z symbolicznym berłem. Do tego rodzaju rzeźb odnosi się wspaniale wykonana figura z b. klasztoru SS. Wizytek w Lublinie, z Góry Kalwarii nad Wisłą, z Cmentarka Katedry w Kamieńcu na Podolu, z Lasek pod Warszawą i świetny drzeworyt z Kalwarii Zebrzydowskiej ze skromnym podpisem autora tylko dwoma głoskami: G. S.



Figura z pow. tomaszowskiego w Zamoyszczyźnie.

Figura z pow. zamojskiego.





Figura z Podhala.



Drzeworyt z Kalw. Zebrzydowskiej.

Figura ze wsi Bieńkówki, pow. wadowickiego.





Kapliczka przy drodze z Czarnego Dunajca do Piekielnika.



Kapliczka kolumna z Oleśnicy, pow. stopnickiego.



Figura przydrożna we wsi Siemień, pow. radzyńskiego.



Figura z Katedry Św. Jana w Warszawie.

Bardzo naturalne, iż rzeźbiarze, którzy wykonywali figury „Chrystusa Frasobliwego", przeważnie pochodzili z ludu, a nie z zespołu mistrzów i nie mieli należytego przygotowania fachowego i tego zrozumienia polotu ducha, a i również wiedzy anatomii ciała ludzkiego — więc znaczna ilość z nich nie potrafiła oddać głębszych, moralnych cierpień Chrystusa — a tylko potrafili mniej lub więcej poprawnie oddać wyraz ludzkich cierpień, przez które przechodził Człowiek-Bóg. U nich postać „Frasobliwego Chrystusa" redukuje się do postaci zwykłego cierpiącego człowieka, którego cierpienia fizyczne zagłuszają wszelką myśl wewnętrzną głębszą, i w tych figurach wyczuwa się tylko ból ciała — ale nie duszy. Takich figur, naturalnie, jest znacznie większa ilość



Figura z Woli Radziszewskiej, pow. wadowickiego.

Kapliczka z Lasu Świętokrzyskiego.





Figura z pow. janowskiego.



Figura z Żabna, pow. dąbrowskiego.

Figura z Warszawskiego Muze Diecezjalnego.





Figura z cmentarza w Myślenicach, woj. krakowskiego.



Figura z Katedry św. Jana we Lwowie.



Figura z pow. biłgorajskiego.



Figura z kościoła OO. Dominikanów w Lublinie.



„Boża Męka" z Grobonóg.



Figura „Chrystusa Frasobliwego" z Łysina na Wołyniu.

Figura z kościoła Św. Ducha w Sandomierzu.



Figura z Radecznicy, pow. zamojskiego.



Figura z kapliczki przydrożnej w Czorsztynie, pow. nowotarskiego.



niż o charakterach poprzednich, gdzie prócz prawidłowości anatomicznej, figury, łączyło się jeszcze wyczucie i zgłębienie cierpień duchowych i moralnych. Do figur takich odnoszą się figury: z Woli Radziszewskiej, z kościoła Farnego w Biłgoraju, z kościoła w Bugaju (pow. gorlickiego), z Żabna i z bardzo wielu też innych miejscowości.

Pozostaje jeszcze grupa rzeźb tych, które były wykonane przez najmniej uduchowionych i uzdolnionych fachowców. W tych figurach nie widać najmniejszego ani moralnego, ani fizycznego cienia — są to postacie ludzi — powiedzmy, zupełnie obojętnych na to, co z nimi moralnie i fizycznie się dzieje — jedynie tylko układem samej figury łączą się one z innymi grupami figur „Chrystusa Frasobliwego". Tych figur jest największa ilość i najwięcej one niestety dają materiału dla tych zupełnie bezdusznych współczesnych autorów do tworzenia figur pozbawionych jak natchnienia religijnego, tak i prawidłowości anatomicznych. Ci nowocześni, mniej uzdolnieni rzeźbiarze, chcąc skryć swą nieudolność, już zmanierowani z samego zarodku, tworzą figury w niczym nie podobne do figur powstałych z rąk chociaż nieuzdolnionych autorów, ale przejętych myślą odtworzenia cierpień i samej postaci Chrystusa.

Trzeba szczególnie podkreślić, iż ci świątkarze, co lepsze po sobie dzieła zostawili, dają właśnie dowód wielkiego i głębokiego wyczucia boleści fizycznych a zarazem moralnych, dobroci i wyrozumiałości Chrystusa Pana.

Do poprawniejszych prac tej grupy ostatniej, powiedzmy „obojętnych", zaliczyć należy figurę



Kapliczka z figurą „Chrystusa Frasobliwego" przy b. klasztorze SS. Wizytek w Lublinie.



Figura z Zakopanego.



Figura spod Lidy



Figura z kapliczki b. klasztoru SS. Wizytek w Lublinie.



Figura z Białego Du



Figura ze wsi Rozdziale, pow. bocheńskiego.



Figura z Długośc pow. wyszkowski



Kapliczka spod Słucka.

„Chrystusa Frasobliwego" w swoim czasie wywożonej z Pragi warszawskiej przez Rosjan, i figury: z Bieńkówki, Wiśnicza, Lidy, Myślenic, ze wsi Biedek i Jasieniec, z Grabowa i z bardzo wielu innych miejscowości. Figura z Łysina na Wołyniu, jako dzieło pierwszorzędnego snycerza, ale o charakterze „obojętnym", odnosi się do tej grupy.

W ogólnym tym zarysie o figurze „Chrystusa Frasobliwego" trzeba wziąć pod uwagę, iż są to dzieła rąk artystów ludowych, którzy w przeważnej części nie przechodzili żadnych studiów rzeźbiarskich i dlatego w bardzo wielu figurach widzimy zasadnicze błędy anatomiczne, jednak są i takie, które są istotnymi arcydziełami, odtwarzającymi po mistrzowsku ból a zarazem wyrozumiałość i dobroć — są i takie, które w pewnym układzie ustawionych nóg, nachyleń korpusu, lub nawet podtrzymania ręką głowy — oddają pierwszorzędnie wyczerpanie, bóle fizyczne i wycieńczenie. Naturalnie, iż tych świetnych mistrzów było bardzo mało — ale niestety i tych świetnych i tych mniej uzdolnionych, nazwiska i imiona są nie znane, odeszli oni w zapomnienie — a jednak pozostawili po sobie imponujący dorobek sztuki narodowej typowo polskiej.

Wszyscy ci rzeźbiarze dalecy od klasycznych rzeźb, mieli jednak jedną wspólną psychologię i ideę przedstawienia Chrystusa, który poświęcił się i umarł, by zbawić ludzkość. — Zazwyczaj przedstawiali oni Chrystusa siedzącego z głową opartą przeważnie na prawej ręce, z nogą wspartą prawie zawsze na czaszce ludzkiej lub na kamieniu, a niektórzy z nich umieszczali czaszkę ludzką na kolanie, podpierając łokieć ręki, na której wspiera się zbolała Głowa Chrystusa. Nogi są zazwyczaj ustawione prosto. bardzo rzadko skrzyżowane. Figury te były bardzo często jaskrawo malowane, nawet i takie, które



Figura z Katedry Włocławskiej.



Kolumna w Beszowej.



Kolumna przydrożna w Gorlicach.



Kapliczka na słupie w okolicy górskiej.



Figura z kościoła OO. Dominikanów w Lublinie.



Heliominiatura z mszału ks. biskupa Erazma Ciołka z r. 1504.

ANKIETA

Redakcja „Rodziny Polskiej", pragnąc wytknąć sobie dalszą drogę w swym ustawicznym dążeniu do podniesienia wydawnictwa pod względem redakcyjnym i graficznym, zaprasza P. T. Czytelników do wzięcia udziału w następującej ankiecie:

1. *W jakim stopniu „Rodzina Polska" jako pismo dla rodziny, spełnia swe zadanie i w czym się to dziś szczególnie przejawia?*
2. *Czy mamy na łamach „Rodziny Polskiej" omawiać więcej sprawy związane z rodziną, czy też zachować raczej dotychczasowy kierunek ogólny?*
3. *Czy w „Rodzinie Polskiej" więcej należałoby poświęcić miejsca sprawom religijnym; czy może mniej?*
4. *Jakie działy lub artykuły są najchętniej czytane?*
5. *Jakie działy lub artykuły mniej zwracają uwagi?*
6. *Jakie tematy pragnęliby Czytelnicy widzieć na łamach pisma?*
7. *Czy obecny poziom artykułów odpowiada potrzebom, czy też pożądana byłaby forma bardziej popularna, artykuły dłuższe czy krótsze?*
8. *Czy potrzebna jest powieść i jakie powinna oświetlić zagadnienia?*
9. *Czy ilustracje podobają się, czy jest ich dość, czy należy ilość ich powiększyć przy proporcjonalnym zmniejszeniu artykułów?*
10. *Czy dział kobiecy odpowiada potrzebom i jakie pożądane byłyby zmiany?*
11. *Jak dzieci przyjmują swój kącik?*
12. *Czy pożądane byłoby częstsze wydawanie pisma, co dwa tygodnie, co tydzień?*

Odpowiedzi prosimy nadsyłać do 31 marca r. b. do redakcji naszego pisma Za dziesięć najciekawszych odpowiedzi zostaną udzielone nagrody w formie całorocznej gratisowej prenumeraty

Redaktor
„RODZINY POLSKIEJ"

---

były wykute z kamienia; wszystkie te figury przeważnie mają tylko perisonium — czyli opaskę biodrową — jednak również często są figury w płaszczach mniej lub więcej obficie spadające lub nawet postacie całkowicie odziane w coś, co może być nazwane chitonem, szlafrokiem, kurtką lub coś podobnego, tego rodzaju całkowicie odziane figury najczęściej się spotykają na Kurpiach.

Figura „Chrystusa Frasobliwego" wszędzie się spotyka, czy to w kapliczkach przy drogach, czy w lasach na drzewach, czy w niszach domów prywatnych lub bram cmentarnych, w ogóle wszędzie tam, gdzie przechodzień mógł chwilkę się zatrzymać i myślami się wznieść do Boga.

Kapliczki, w których mieściły się te figury, były bardzo rozlicznego rodzaju i były od najwspanialszych i bogatych do najskromniejszych pojedynczych kloców. Dość wspomnieć tylko o wspaniałej kapliczce z Lublina b. klasztoru SS. Wizytek, by mieć pojęcie z jakim wykonywano je nakładem wiedzy, gustu i kosztów. Różnorodność materiałów, zastosowanych do wykonywania tych figur i kapliczek, była bardzo wielka, albowiem znane są figury z kamienia, marmuru, drzewa, gliny wypalanej, malowane na blasze, drzewie, nawet na szkle, a prócz tego jako drzeworyty i sztychy.

W pewnych okolicach mają niektóre figury wielkie ze sobą podobieństwo, a stwierdza to, iż były one dziełami jednego i tego samego snycerza, który to przeważnie chodził z jednego odpustu na drugi, mając ze sobą swe narzędzia snycerskie i na miejscu kuł lub rzezał te figury. Ogólną charakterystyczną ich cechą jest to, że za wielkie mają ręce i głowy a za małe nogi; to zjawisko tłumaczy się tym, iż rzeźbiarz modelował w figurze patrząc na własną rękę z odległości zbyt bliskiej, więc dlatego są one za duże.

Niestety musi się stwierdzić, iż ten tak bogaty przed wojną światową dorobek rzeźby ludowej, po wojnie — a właściwie po niszczycielskich przejściach armii niemieckiej i rosyjskiej po naszych ziemiach — całkowicie zmalał, gdy do tego dodamy niszczycielską działalność wszelkich naszych zabytków religijnych przez wewnętrznych wrogów polskości naszej — to staje się jasnym, iż obowiązkiem każdego Polaka, któremu cenne są pamiątki kultury jego narodu, jest, by najgorętszą otaczał opieką te figury „Chrystusa Frasobliwego".

Bogata nasza literatura — rzecz dziwna — posiada bardzo skromną bibliografię o tej figurze — w porównaniu, powiedzmy, z tak obszerną literaturą francuską o rzeźbach, z każdego wieku, swej ojczyzny.

O figurze „Chrystusa Frasobliwego" wspomina Gloger w swej „Encyklopedii starożytności", Chętnik Adam w swej pracy: „Z zielonej puszczy", Seweryn Tadeusz w broszurce „O Chrystusie Frasobliwym", Sygietyński w: „Pan Jezus w Przegorzelach", Emil Zegadłowicz w swej „Balladzie o Wowrze" i dr Michał Brensztejn w swej wspaniałej monografii „O krzyżach i kapliczkach żmudzkich". W 1933 r. wyszła książka obszernie traktująca o figurze „Chrystusa Frasobliwego" z bardzo licznymi fotografiami i wzmiankami o istniejących figurach, pod tytułem „Figura Chrystusa Frasobliwego" — autora — niniejszego artykułu.

JÓZEF BIRKENMAJER 1)

PISKOLEK

— Złapałem niepożecznego motyla! — wołał z triumfem mały Tadzio, nadbiegając co sił ku starszym braciom. Twarzyczkę miał czerwoną od zmęczenia, a ciemnawe włoski, niedawno rozwiane pędem gonitwy, wskutek obfitości potu przylepiły mu się do czoła, na którym, jako ślad nieco obcisłego kapelusza słomkowego, widniała ciemniejsza pręga, do cieniuchnej czerwonej wstążki podobna. Sam kapelusz, z denkiem przypłaszczonym pośrodku, z rondem oberwanym po brzegu i wyszarpaną kokardą, chwiał się melancholijnie na gumce, przewieszonej poprzez rączkę chłopca, w którego zaciśniętej piąstce szamotał się, na równi może z Tadziem, zdyszany biały motylek, roniąc wokoło lepkie warstewki białego pyłu, drobniuchnego jak puder.

Motyl ten istotnie był niepożyteczny — czyli, że użyjemy wyrażenia Tadzia, niepożeczny. Była to bowiem samiczka najpospolitszego w świecie bielinka kapustnika, znanego szkodnika, którego gąsienica tak często czyni spustoszenia w ogrodzie warzywnym.

Jak wszelkie szkodniki i plugastwo, tak i bielinki mnożą się w wielkiej obfitości, wobec czego okaz ten, — do cna już zresztą wyliniały w spoconej rączce Tadzia — był pod każdym względem niepożyteczny. Nie nadawał się bynajmniej i do zbioru owadów, który dla starszych braci Tadzia był od kilku tygodni głównym przedmiotem trosk i zajęć.

— Phi! wielkie mi rzeczy! Kapustnik! Widać, że do kapuścianej głowy przyleciał! Puść go, Tadziu! Nie trzeba męczyć zwierząt! — odezwał się Witek, niosący drewniane pudełko od cygar, w którym wiły się na szpilkach dwa świeżo schwytane chrząszcze.

— To nie zwierzę! To niepożeczny motyl! — oburzył się Tadzio, dotknięty zlekceważeniem swej zdobyczy oraz ostatnią uwagą, która wydała mu się częstym u Witka żartem z nieświadomości malca. — Zwierzę to jest wilk i tygrys i...

— I cielątko! — dokończył gniewnie Witek, pijąc do Tadzia, który jednakże nie zrozumiał tej aluzji, owszem wziął ją za dobrą monetę, kiwnięciem głowy potwierdzając słuszność powiedzenia.

— I cielątko... i cielątko! — powtarzał z radosnym zachwytem, gdyż przypomniało mu się prześliczne cielątko, które widywał u gospodarzy.

Szli dalej, niewiele mówiąc, bo spieka była wielka, więc zasapanie nie pozwalało im przyjść do głosu. Chcąc się przed tą spieką uchronić, zmierzali śpiesznie ku wielkim zaroślom, ciągnącym się nad nieduża rzeczułką, gdzie był cień i chłód przyjemny. Jednakże nie sam cień i chłód ich tam ciągnął; w gąszczach tych kryły się i inne ponęty. Oto wśród olch i sitowi rosnących nad wodą gnieździły się tłumnie zielono-tęczowe zdobnice i pląsały modre panny wodne, a Witek dowodził, że na młodych dębczakach, których tam parę rosło nieopodal na wzgórku, musi się znajdować — od tak dawna bezskutecznie poszukiwany — król owadów, potężny jelonek-rogacz.

Najstarszy z braci, Robert, miał w związku z ową wyprawą jeszcze inne zamysły. Oto dwa dni temu zaczął na rzeczułce, wyschniętej do połowy wskutek upałów, budować wielką tamę, sięgającą aż po same brzegi, a mającą na celu utworzenie wielkiego basenu zdatnego do kąpieli dla chłopców, gdyż w tym miejscu woda sięgać mogła im powyżej pasa. Poza tym na wodospadzie, powstałym za tamą, można było zbudować młyn, w braku czego innego mielący wodę; wreszcie i to było ważną rzeczą, że w mętnawych falach rzeczułki płynęły różne stworzenia z typu to kręgowego, to członkonogów, to robaków, to mięczaków — w każdym zaś razie nadające się do wspaniałego akwarium, jakie w domu swym urządzili trzej starsi chłopcy, przeznaczywszy na ten cel wielką, starą, nieco wyszczerbioną miednicę porcelanową. Akwarium to szczyciło się już posiadaniem czterech pijawek (z czego jedna lekarska, trzy końskie), trzech skójek-małżów, dwóch ślimaków wodnych, jednej błotniarki, całej gromadki dafnii, jednego potężnego pływaka-żółtobrzeżka, jednej płoszycy, dwunastu swawolnych grzbietopławków, nade wszystko zaś ośmiu maleńkich rybek, które w tym zespole stanowiły najbardziej rozwinięty typ zoologiczny. Połów tych rybek na szczególne napotykał trudności, gdyż były one drobne i śliskie (stąd podobno ślizami były zwane) i wciąż wymykały się z rąk chłopakom, a nawet gdy się je pochwyciło, trzeba było uważać, by ich nie zdusić nieostrożnym ruchem; ponadto w samym akwarium nie były też nazbyt pewne swego życia, gdyż tu zawzięcie na nie polował żarłoczny pływak-żółtobrzeżek. Mimo to Robert pełen był różowych nadziei co do rozwoju swego rybnego gospodarstwa.

— Mam już ich osiem! Jeszcze tylko pięćdziesiąt dwie, a będzie kopa! — dowodził.

Nikt mu nie przeczył, gdyż z punktu widzenia arytmetyki była to zupełna prawda, a przecie Robert słynął w rodzeństwie jako najlepszy nietylko mechanik i budowniczy, ale także i matematyk.

— Tadziu, ty nie pójdziesz z nami nad Zatokę Hudsońską! — oświadczył w pewnej chwili Witek. — Urządzamy dziś wielki połów, a ty byś swymi okrzykami płoszył nam ryby! Gdy się ryby łowi, trzeba siedzieć cicho jak ryba!

— A jak ryba siedzi? — zapytał Tadzio zaciekawiony. — Jeszcze nigdy tego nie widziałem, jak ryba siedzi... Czy tak jak ludź, czy tak jak ten biały króliczek u Piegżyny? A może tak jak chrabąszcz na liściu? Ja by chciałem zobaczyć!

— Nie zobaczysz... to nie dla małych dzieci! — zawołał Witek, starszy od Tadzia o całe cztery lata. — Dzieci i ryby nie mają głosu!

Tadzio, jakby chciał pokazać, że głos ma niezgorszy i że przynajmniej pod tym względem różni się od ryby, zaczął szlochać i beczeć tak donośnie, iż zdołałby wypłoszyć nie tylko wszystkie ryby z „Zatoki Hudsońskiej”, ale i wszystkie ptaki dzwoniące i pogwizdujące na przeróżne tony w cieniu olszyny.

(D. c. n.).

NA FALACH CZASU

ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

Zbliżająca się wystawa paryska skupi cały szereg kongresów na swoim terenie. Jest to całkiem zrozumiałe i naturalne, wielu bowiem ludzi tym sposobem będzie w możności wykonać nie tylko swoje obowiązki społeczne, ale znajdzie równocześnie możność poznania całego szeregu dziedzin geniuszu ludzkiego. Wspominaliśmy już o kilku zjazdach międzynarodowych dotyczących zagadnień rodziny. Obecnie nadeszło do niżej podpisanej zaproszenie od Komitetu Konkursu o „Puchar Dzielnej Gospodyni" na członka tegoż Komitetu oraz prośba o wyznaczenie dwóch zastępczyń. Poza tym należy przedstawić kandydatkę polską do tych zawodów. W organizacji tych konkursów brała bardzo czynny udział z ramienia Polski znana nasza działaczka p. Maria Karczewska. Na konkursie międzynarodowym w Budapeszcie odegrała b. poważną rolę w jury p. Wanda Drużbacka. Ostatnie zawody miały miejsce w r. 1935 w Brukseli podczas wystawy międzynarodowej. Wręczyła wtedy puchar laureatce śp. królowa Astrid na kilka dni przed tragiczną śmiercią.

* * *

W Estonii powstała jedyna dotąd w swoim rodzaju instytucja samorządu gospodarczego, a mianowicie „Izba Gospodarstwa Domowego". Do kompetencji Izby należą sprawy dotyczące domu i rodziny, a więc wychowanie, pożywienie, ubranie, zdrowie, organizacja pracy i utrzymanie domu, kultura domowa itd.

* * *

Na Łotwie stale wzrasta zainteresowanie sprawami rodziny. Trzy pisma codzienne poświęcają co tydzień jedną stronę zagadnieniom rodziny. Pomiędzy najważniejszymi książkami, wydanymi w r. 1935 warte są wzmianki „Wychowanie najmłodszych" dr I. Prifers; „Co można dzieciom opowiadać" p. Ilpe Prifers; „Sztuka wychowania" p. M. Stals; „Nasza rodzina" p. L. Brecan.

Radio daje stale serie odczytów dla rodziców. W niektórych liceach kobiecych wykłada się psychologię dziecka. W Rydze jest stała wystawa demonstrująca jak pielęgnować dzieci. Na prowincji są organizowane wystawy czasowe. Coraz więcej dąży się do umieszczania opuszczonych i słabych dzieci w środowiskach rodzinnych; w ciągu lata 1935 zostało umieszczone w ten sposób na wsi 6.455 dzieci. —

* * *

Pisaliśmy już o międzynarodowym kongresie, mającym się odbyć w Paryżu pod nazwą „La femina au foyer", mającym na celu powrót kobiety do ogniska rodzinnego. Kongres ten jest poprzedzony przez ankietę w sprawie pracy zarobkowej kobiety zamężnej. — Obecnie donosimy, że świeżo ankietę taką podjęło Biuro Międzynarodowe Pracy przy Lidze Narodów w Genewie. Jest to jeszcze jeden dowód jak bardzo palącą jest ta sprawa.

W Polsce.

Nawiązując do poprzedniego chcemy również donieść, co w tej sprawie w Polsce się dzieje. Oprócz ankiety paryskiej, która została rozesłaną do różnych ośrodków działalności kobiecej, nakładem naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej wyszedł w broszurce referat dr Marii Śliwińskiej-Zarzeckiej „Praca zarobkowa kobiet a życie rodzinne", wygłoszony w czasie „katolickiego studium o rodzinie" w Poznaniu w listopadzie roku ub.

Autorka daje w nim zestawienie płac i liczby kobiet w fabrykach i omawiając zwiększanie się liczby kobiet pracujących, podkreśla, że praca zarobkowa nie pozwala im „wypełniać zasadniczych zadań życiowych". Rozpatruje dalej ujemne skutki pracy zarobkowej kobiet na życie rodzinne i szuka sposobów ratunku. „Trzeba", mówi, „poznać dokładnie samo zagadnienie w całym jego skomplikowaniu. Należy pracować nad wprowadzeniem takiego ustroju ekonomicznego, który usunie przyczynę materialną zarobkowania matek. Trzeba urabiać same kobiety, aby rozumiały swe zadania życiowe i umiały się z nich wywiązywać. Trzeba zorganizować pracujący ogół kobiecy, aby umiał sobie wywalczyć równość płac przy równości pracy. Praca ma podtrzymywać rodzinę, a nie burzyć ją".

W zakończeniu dr Śliwińska mówi o konieczności przygotowania kobiet wszystkich warstw do życia rodzinnego i o uzbrojeniu dziewcząt przez naukę jakiejś pracy zawodowej do walki z losem, wreszcie o potrzebie kobiecych organizacji zawodowych.



W Rzymie odbył się ślub najstarszego syna Mussoliniego Vittoria z Urszulą Buvoli z Mediolanu. Ślub odbył się w kościele św. Józefa. Na lewo stoi Duce.

Broszurka to bardzo pożyteczna i może być wyzyskana, jako materiał do dyskusji na zebraniach stowarzyszeń kobiecych.

„Mały Dziennik" w jednym ze swoich wywiadów podaje opis fabryki w Warszawie, która niestety nie jest wyjątkiem:

„Na z górą 800 osób zatrudnionych pracuje tam z górą 500 kobiet. Uposażenie ich jest znacznie mniejsze, niż mężczyzn i nie przekracza 3.50 zł dziennie. Chociaż mężczyźni zatrudnieni przy tych samych warsztatach, zarabiają przeciętnie około 6 — 7 złotych za dzień pracy. Zupełnie zrozumiałe, że ponieważ kobiety są znacznie tańszą siłą roboczą, niż mężczyźni, więc wypierają one ich powoli..."

A mężowie są bez pracy. Odwróciły się role. Teraz mężczyzna siedzi w domu i... wychowuje dzieci, pilnuje gospodarstwa..." Tak nienaturalne stosunki nie potrzebują komentarza! Muszą nastąpić radykalne zmiany w tej dziedzinie życia społeczno-ekonomicznej.

* * *

Dr W. Galecki pisze w „Dzienniku Urzędowym" kuratorium krakowskiego o niepomyślnym stanie moralnym młodzieży szkolnej, oraz okólnik główn. komendanta policji państwowej gen. Kordian-Zamorskiego, nakazującego organom policyjnym zwracania baczniejszej uwagi na zachowanie się młodzieży na ulicach — stwierdza, że do leczenia choroby, która zakradła się do młodego pokolenia, powołane są przede wszystkim współdziałające z sobą rodzina i szkoła.

„Istniejące przy wszystkich bodaj szkołach tzw. koła rodzicielskie muszą wyjść poza troskę o płacenie wpisów za młodzież niezamożną.

„Zdrowie moralne młodzieży winno stać się naczelną ich troską, a obmyślenie należytych metod i sposobów podniesienia poziomu moralnego młodzieży — tematem skutecznych narad z pedagogami szkolnymi.

„Równocześnie i szkoła powinna zastanowić się poważnie i krytycznie nad przyczynami, które wypędzają młodzież na „wagary". Czy jest to tylko przejaw instynktu włóczęgostwa, który przejawia się przejściowo u młodzieży w pewnym okresie dojrzewania, czy nie ponosi tu współwiny metoda nauczania, stosowana w danej szkole".

Koła rodzicielskie, niestety, obecnie nie odgrywają tej roli jaką odgrywać powinny. Nie mają bowiem dostatecznego wpływu na wychowanie młodzieży w szkole. Wpływ zaś ten powinny uzyskać, sami bowiem pedagogowie, jak widzimy, nie mogą sprostać zadaniu.

* * *

Rodzina Policyjna", którą kieruje jako przewodnicząca p. L. Zamorska, rozwija znacznie swoją działalność. Ile jest w Rzeczypospolitej powiatów, tyle kół powiatowych, tzn. 263, a każdy posterunek policyjny jest jej placówką.

* * *

Możność zawarcia małżeństwa przez osoby pozostające w służbie wojskowej, policyjnej bądź równorzędnej (K. O. P., straż graniczna) uwarunkowana jest uzyskaniem przez nie zezwolenia władz przełożonych.

P. minister spraw wewnętrznych jen. Sławoj-Składkowski polecił wojewodom i starostom podać do wiadomości właściwym w zakresie udzielania ślubów organom wszelkich wyznań, obowiązujące w tej mierze przepisy do ścisłego przestrzegania ich pod rygorem stosowania rozporządzalnych sankcji karnych.

Rozporządzenie powyższe może wpłynąć na poważniejsze zawieranie małżeństw.

* * *

Polskie Tow. Reformy Mieszkaniowej podjęło inicjatywę zwołania w końcu kwietnia br. do Warszawy kongresu mieszkaniowego, który by wyjaśnił dzisiejszą sytuację i potrzeby mieszkaniowe w Polsce, omówił dotychczasową organizację i finansowanie budownictwa mieszkaniowego w Polsce i wysunął postulaty w tej dziedzinie.

Postulaty te, podkreślając znaczenie ruchu budowlanego dla życia gospodarczego i konieczność popierania go ze środków publicznych, dotyczyłyby właściwego sposobu użytkowania tych środków na budownictwo społeczne, w oparciu jego o specjalną ustawę.

Pol. Tow. Reformy Mieszkaniowej zaprosiło do współudziału w organizacji kongresu szereg instytucji kongresu, których zakres działania lub zainteresowań obejmuje sprawy mieszkaniowe.

W kongresie tym powinny wziąć udział tak jednostki, jak organizacje zajmujące się sprawami rodziny.

* * *

Centrala wydawnicza Stow. Młodzieży Katolickiej w Poznaniu — Ostoja, wydała „Społeczne zasady Ewangelii", dające odpowiedź na zagadnienia współczesnego życia. Omówione są następujące zagadnienia: Społeczna nauka Ewangelii, Wartość człowieka, Rodzina, Kobieta, Dziecko, Państwo i władza, Praca i płaca, Bogactwo i własność, Braterstwo i sprawiedliwość, Miłość, Pokój, Kościół, Społeczna siejba Ewangelii.

Z. Jankowska

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Świat szuka dróg wyjścia z dzisiejszego chaosu. I *Polska* stoi obecnie na przełomie dwóch epok. Po obu naszych granicach toczy się bój z Bogiem — toczy go komunizm Sowietów, toczy go neopoganizm narodowo-socjalistycznych Niemiec. O ile Polska nie chce wpaść w orbitę jednego lub drugiego prądu, musi przeciwstawić tym siłom państwo chrześcijańskie, które by się różniło od pogańskiego przez to, że i sformułowanie i wykonanie praw jest w nim zawsze zgodne z nakazami moralności Chrystusowej.

Zwraca na to uwagę Ks. Arcybiskup Dr Bolesław Twardowski, metropolita lwowski, który w połowie stycznia rb. wydał list pasterski, w którym omawia, w jaki sposób zasadom państwa chrześcijańskiego zagraża komunizm. „Zasady bolszewickie", pisze arcypasterz, „wcielane w życie, rychło sprowadzają rozczarowanie mas pracujących. Przeciwko komunizmowi we wszystkich krajach tworzy się zdecydowana kontrakcja... Należy w kraju naszym usuwać to wszystko, co mogłoby pożar bolszewicki sprowadzić. Takim palnym materiałem jest wszelka krzywda ludzka i płynąca stąd nędza".

Inny pasterz Kościoła katolickiego w Polsce, Ks. Biskup Radoński, również wydał orędzie wielkopostne o zgubnych skutkach bolszewizmu. Pisze on przede wszystkim o ruchu młodowiejskim (organizacja „Wici"), który w wielu wypadkach schodzi na monowce. „Nie sądźcie", zaznacza Ks. Biskup, jakoby Kościół i kapłani byli wrogo usposobieni do ruchu młodowiejskiego. Uznajemy w całej pełni prawo ludu polskiego do twórczej pracy nad rozbudową Państwa naszego, pragniemy, aby włościanin polski, oświecony i miłujący Ojczyznę, zajął w tej Ojczyźnie słusznie mu przynależne stanowisko, ale czyż do tych pięknych celów nie można zdążać drogami Bożymi, w zgodzie z nauką Chrystusową, z zasadami wiary naszej świętej?... Może przecież wobec groźnego niebezpieczeństwa otworzą się oczy wiciowcom, że przejdą zdecydowanie całą duszą pod sztandar Krzyża Chrystusowego, a wtedy serdecznie z nimi współpracować będziemy dla dobra wsi polskiej i Ojczyzny miłej".

Wpływy bolszewizmu przenikają jednak nie tylko do środowisk robotniczych i wiejskich w Polsce, ale i do sfer inteligencji pracującej. Zwłaszcza wpływy te zaznaczyły się ostatnio w działalności niektórych członków Związku Nauczyciel. Polskiego (Z. N. P.). Sfery katolickie jednak wystąpiły zdecydowanie w obronie polskiej szkoły. Posłanka Prystorowa zgłosiła w Sejmie interpelację w tej sprawie do ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego w tych słowach: „Czy pan minister stoi na stanowisku niedopuszczania do szkół powszechnych żadnych rozgrywek partyjnych i politycznych pomiędzy starszymi i obrony duszy dziecięcej, jej niezłomnych praw do czystej atmosfery, dalekiej od walk politycznych i czy pan minister w sprawie wychowania religijnego dzieci, liczy się z *wolą rodziców, jako czynnikiem decydującym.*

Tak się sprawy w ostatnich czasach przedstawiają w Polsce. Propaganda bolszewicka zmieniła taktykę: zamiast jawnej walki, próby podejścia, wtargnięcia do głębin środowiska katolickiego i rozsadzania organizacji katolickich od wewnątrz. Niebezpieczna to metoda, ale czujność zwierzchników Kościoła wzrosła i sami katolicy w Polsce mają się na baczności — tym bardziej, że widzą w sąsiednich Niemczech również metodę podejścia, ale stosowaną przez innych wrogów Kościoła, przez hitlerowców.

Sfery katolickie w Niemczech poważnie dotknął ostatnio fakt zakazu przez władze hitlerowskie omawiania i rozpowszechniania papieskiego przemówienia. Hitleryzm coraz wyraźniej staje po stronie nowoczesnego pogaństwa. — Więcej lub mniej oficjalne rządowe organy prasowe, jak np. ostatnio „Angriff", podejmują ataki na osobę Ojca św., kardynałów, episkopat i cały Kościół; sfery rządowe na każdym kroku bez ceremonii łamią konkordat. Nie wolno np. w prasie codziennej zamieszczać w Niemczech listów pasterskich w ich dosłownym brzmieniu.

W innym sąsiednim z Polską państwie, na Kościół ze strony hitleryzmu, trzej kardynałowie niemieccy udali się do Rzymu, gdzie Ojciec św., mimo że podówczas był ciężko chory, konferował z nimi z wielką troską, dając dyrektywy na przyszłość. Zwłaszcza chodzi tu o zakusy ze strony rządu hitlerowskiego, który zmierza do pozbawienia młodzieży niemieckiej wychowania chrześcijańskiego i do zastąpienia go wychowaniem narodowo-socjalistycznym.

W innym sąsiednim z Polską państwie, *w Sowietach,* dzieją się tak wielkie wstrząsy wewnętrzne i przeobrażenia, że muszą one wywołać skutki i w duchowym nastroju mas rosyjskich. Już dziś, pod wpływem ostatnich procesów, skierowanych przeciwko głównym twórcom ideologii



Prezydium zebrania inauguracyjnego Rady Naczelnej Akcji Katolickiej Archidiecezji Warszawskiej.

marksowskiej, przeciwko tzw. „trockistom", utrwala się przeświadczenie wśród szerokich mas, że Rosja zdąża do nowej fazy życia zbiorowego, do podkreślenia na pierwszym planie momentów patriotycznych, a usunięcia na drugi plan doktryny Lenina i międzynarodowej ideologii Trockiego.

Jednocześnie z tymi przemianami nastrojów politycznych odbywa się wzrost tęsknoty do religii. Jak donosi moskiewski korespondent „Daily Telegraph", w pierwszych dniach stycznia br., to jest w okresie, gdy Rosjanie obchodzą swoje święta Bożego Narodzenia (podług tzw. starego stylu), dał się zauważyć w stolicy Sowietów niespotykany dotychczas od r. 1917 ruch ludności, masowo uczęszczającej w ciągu tych kilku dni do domów Bożych... Modlą się tam dziś bardzo licznie mężczyźni w sile wieku i młodzież pochodzenia proletariackiego. A więc sprawdza się jeszcze raz wiekami stwierdzona prawda, że religii z serc ludzkich żadne prześladowania nie usuną. Z krwi męczeńskiej w Rosji powstanie nowy posiew, nowy okres gorliwości religijnej.

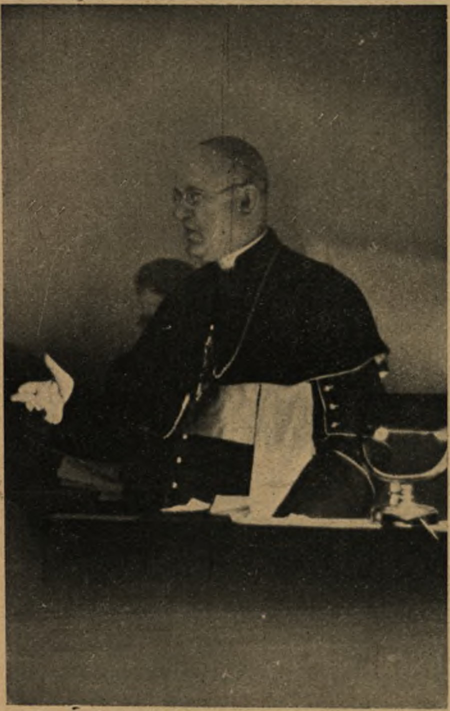
W ostatnich czasach ukazało się szereg publikacji pisarzy europejskich (Gide, Celine, Dorgeles), którzy po powrocie z Rosji — choć byli dawniej zwolennikami komunizmu — wypowiadają w sposób jaskrawy swe rozczarowanie i przyznają otwarcie, że błądzili przypuszczając, iż bolszewizm może przynieść masom proletariatu lepszą dolę. Wśród tych publikacji zwłaszcza wiele hałasu narobiła książka znanego komunizującego pisarza francuskiego A. Gide'a pt. „Powrót z Z. S. S. R.". Określa się ją często jako sensację, rewelację. Tak mówią o tej książce ci, którzy się spodziewali, że Rosja komunistyczna będzie rajem obiecanym przez Marxa, Engelsa, Kautskiego i in. teoretyków socjalizmu. Dowiadują się teraz od pisarza nie podejrzanego o sprzyjanie „reakcji", że Rosja sowiecka jest domem niewoli, nędzy i głodu Z przerażeniem czytają w jego książce zapewnienie, że nawet III Rzesza Hitlera (!) daleko więcej wolności zostawia człowiekowi, niż Rosja Stalina.

Nic więc dziwnego, że otwierają się oczy powoli nawet tym zagorzałym zwolennikom komunizmu rosyjskiego, którzy szczerze wierzyli, że Lenin i jego spadkobiercy odrodzą i uszczęśliwią ludzkość. W krajach, jak *w Belgii* i Francji propaganda bolszewicka napotyka też na coraz silniejszy opór — zwłaszcza że przedstawiciele episkopatu katolickiego w tych krajach, dając wskazania walki z bolszewizmem, zachowują przy tym wielką chrześcijańską roztropność. Tak np. biskupi Belgii odrzucają jeden sposób walki z bolszewizmem w swym zbiorowym liście pasterskim. Brzmią ich wskazania dosłownie tak: „Jakimi sposobami trzeba komunizm zwalczać? Siłą? Dla nas katolików byłby to najgorszy ze sposobów i tragiczny. Gwałt bowiem powoduje gwałt i prowadzi do walk bratobójczych".

Jest to wskazanie bardzo cenne. Oczywiście episkopat Belgii nie doradza jakiejś liberalnej polityki w stosunku do komunistów — ale pragnie tylko podkreślić, że chcąc zburzyć zło, należy budować dobro. Walka z zarazą bolszewicką musi być pozytywna: należy przede wszystkim usunąć przyczyny zła — nędzę i krzywdę mas. Należy zapewnić ludziom pracę i tak żyć, aby wrogowie Kościoła brali przykład z katolików i nawracali się, aby nie mogli zarzucać, że czyny katolików różnią się od ich zasad.

Podobnie jak w Belgii, tak i w sąsiedniej Francji ferment bolszewizmu próbuje wykorzystać słabe strony życia katolików. We *Francji* jest o tyle gorzej, że tam wprost — jak donosi ostatnio tygodnik „Gringoire" — Moskwa całą siłą zmierza do wywołania rewolucji komunistycznej. Korzystając z dostaw broni dla obozu czerwonych w Hiszpanii, komuniści francuscy, niejednokrotnie przy poparciu lokalnych sympatyzujących z frontem ludowym władz komunalnych urządzają już we wszystkich dzielnicach kraju zasobne składy broni i amunicji. Dzieje się to na rozkaz „Kominternu", jak świadczy treść niedawnej transmisji radiowej z Moskwy, skierowanej do proletariatu francuskiego.

Okazuje się jednocześnie — jak donosi „Gringoire" — że masoński „Wielki Wschód" francuski odbył ostatnio dwa ważne posiedzenia. Loża masońska „Clarté", składająca się z socjalistów i komuni-



Inauguracja Rady Naczelnej Arch. Akcji Katolickiej.



stów, omawiała wyniki działalności i plany na przyszłość i podkreśliła, że bracia masoni w rządzie francuskim nie opuszczą braci hiszpańskich i że wołanie o pomoc hiszpańskiego wielkiego mistrza masonerii (!) nie pozostanie bez odpowiedzi.

Tymczasem w samej *Hiszpanii* nadal krew się leje. Idzie zmaganie o największe walory cywilizacji. Na terenie walk zgromadziły się różne narody. Jest to jakby w miniaturze wojna światowa, w której walczą dwa obozy: tych co bronią krzyża ze sługami antychrysta bolszewickiego.

Podług ostatnich statystyk, dotychczas liczba zabitych na terenie całej Hiszpanii kapłanów katolickich wynosi od 40 do 50 procent. Z biskupów zamordowano jedenastu. W dziewięciu diecezjach ilość rozstrzelanych kapłanów i zakonników wynosi ponad 80 procent. Co do kościołów, kaplic i innych budynków poświęconych religii, 23 diecezje donoszą: „niemal wszystko spalone”. Ogólna liczba ofiar pośród duchowieństwa wynosi ok. 5.000 osób.

Jeżeli tyle ofiar, tyle krwi i męki ponoszą katolicy Hiszpanii, to niezawodnie Opatrzność sprawi, iż ten nieszczęśliwy kraj po ukończeniu wojny domowej przyczyni się do zgniecenia komunizmu nie tylko u siebie, ale i w całym świecie. Kardynał Goma y Tomas, prymas Hiszpanii, w wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy oświadczył: „Ufam, iż Opatrzność sprawi, że zwycięstwo katolickiej Hiszpanii będzie początkiem końca komunizmu w Europie”.

W tym samym czasie, gdy w Hiszpanii, Francji, a nawet częściowo w Belgii siły wywrotowe komunizmu podważają katolicyzm — w innych krajach, jak Holandia, Węgry i Szwajcaria religia katolicka rozwija się coraz pomyślniej.

Zwłaszcza katolicy w *Holandii* zwalczają zdecydowanie wpływy komunistyczne. Niedawno założona katolicka organizacja obrony wiary przed atakami bezbożników i neopogan „Voor God” (Za Boga) rozpoczęła już swą działalność wydaniem w 400 tysiącach egzemplarzy pierwszej swej propagandowej broszury. Publikacje wydawane przez organizację „Voor God” ukazywać się będą co pewien czas i będą rozdawane masowo bezpłatnie, zwłaszcza po wsiach, przede wszystkim wśród niekatolików.

Odbywające się co trzy lata kongresy katolików holenderskich zdobyły już zasłużoną sławę. Kongres tegoroczny, który pod hasłem: „O cześć Boga” zwołany zostaje do Utrechtu odbędzie się w dniach 17 — 18 maja. W pracach kongresu oprócz katolików holenderskich wezmą także udział przedstawiciele katolików z innych krajów.

Również *na Węgrzech* rozwija się pomyślnie życie katolickie w pracy społecznej. Ostatnio zostało zawarte porozumienie między przedstawicielami chrześcijańsko-narodowej partii ludowej, do których dołączyli się liczni bezpartyjni członkowie parlamentu budapeszteńskiego. Porozumienie to uwieńczone zostało uformowaniem „Zjednoczonej Partii Chrześcijańskiej”, której zasadnicze punkty brzmią: 1° Domaganie się praw dla ducha chrześcijańskiego we wszystkich dziedzinach administracji i sądownictwa państwowego. 2° Walka z wszelką bezbożniczą propagandą i demagogią.

* * *

Światło w głuchej wsi...

Parę dni temu los rzucił mię aż za Lublin. Duża wieś, mały drewniany kościołek Wszedłem. Chwilę wpatrywałem się w masę głów.

Wszystkie oczy skierowane w jeden punkt. Ambona. Za chwilę ujrzałem mówcę. Lat koło pięćdziesięciu. Wyraziste rysy. Podobała mi się ta twarz śmiała, otwarta, szlachetna i zacząłem słuchać kazania. Potężny głos, to się wznosił, to spadał, lecz nie słabł. Ksiądz mówił jasną, wyraźną i bardzo piękną polszczyzną. Z każdą chwilą czułem, że te słowa z ambony coraz głębiej trafiają do mego mózgu i duszy. Na koniec, całkowicie pochłonięty treścią kazania, w skupieniu słuchałem.

I lud słuchał. Na zmarnowanych, wyblakłych twarzach starców i na świeżych — kwitnących młodzieży malowało się ogromne zainteresowanie. Widać było, jak pragnęli pojąć, jak bardzo byli przejęci, jak chciwie chwytali każde słowo. Oni, prości włościanie, i ja, mieszkaniec wielkiego miasta, inteligent o wyższym wykształceniu. Jakiż wielki dar słowa, jaką jasną i wszystko ogarniającą myśl trzeba mieć, by trafić do mózgu, serca i dusz tak odrębnych.

Pięknym i mądrym mówcą jest proboszcz tej wsi. Wychodząc z kościoła przysłuchiwałem się rozmowom ludzi, co stojąc po kilku gawędzili. „E, tak jak nasz proboszcz mówi, to nikt nie powie”. Rację masz, człowieku, pomyślałem, ale szkoda, że twego proboszcza nie słyszą szersze tłumy — wiele by dobra posiał ten głos w sercach naszej młodzieży.

Jestem głęboko przekonany, że kto raz słyszał takie kazanie, jak słyszałem ja, poszedłby w następną niedzielę, w drugą, każdą. Wielka jest moc słowa. Spojrzałem na księdza, który wychodził z kościoła. Twarz zmieniona, jakby wyczerpana — zgasła. Ten człowiek przeżywa każde swe słowo.

Mój Boże! za Lublinem, daleko, w dalekiej wsi — i... zapragnąłem zostać, poznać, pomówić... Ale musiałem jechać dalej i... pojechałem unosząc na zawsze niezatarte wrażenie i zdaje mi się, że stałem się pod wpływem słyszanego kazania jakimś łagodniejszym, lepszym. Tylko gdzieś z głębi duszy dochodził mię szept: dlaczego aż tak daleko musiałem jechać, by wyczuć piękno, by zrozumieć słowo Boże w całej wielkości i potędze.

Patrząc przez okno wagonu w stronę wsi, z której wracałem, zazdrościłem jej tej uczty, jaką miała co niedzieli.

Tak, tak, macie racje ludzie, tak jak mówi wasz proboszcz, przez całe życie nikt nie przemówił do mnie.

Kamil de Pahlen.

Z FILMU

Na doskonałym istotnie pomyśle oparta jest komedia muzyczna „Robert i Gloria”, którą wyświetla kino Filharmonia.

Napoleon powiedział kiedyś, że najlepiej zna człowieka jego lokaj. Uderzony trafnością tego powiedzenia młody kompozytor, którego utwór wszedł z ogromnym sukcesem na scenę, którego walce nuci cały świat, przedzierzga się w lokaja i obejmuje służbę w zamożnym domu. Służba zresztą ma swoją atrakcję: córka domu jest piękną i inteligentną dziewczyną. I dla jej uroków warto czas jakiś ścierać kurze czy zabawiać się w cyrulika sewilskiego. Trudno tu oczywiście opisać dziesiątki doskonałych sytuacji, tryskających humorem. Podkreślić trzeba stałe towarzyszenie motywów muzycznych, doskonale wiążących się z tokiem akcji.

Rzecz, jak na uczciwą komedię przystało, kończy się mariażem. Nadąsana panna „wybacza” młodzieńcowi lokajskie podglądanie tajemnic jej charakteru, zresztą po komediowemu bardzo „gemütlich” i wszyscy wracamy do domu nucąc przebojowego walca, z uczuciem beztroski wypełnieni atmosferą przyjemnych wrażeń, jakie się wynosi — jak się to mówi — z dobranego a umuzykalnionego towarzystwa.

Zza Oceanu nadchodzą coraz to świeższe wiadomości o ukończonym obrazie wytwórni „20-th Century-Fox” pt. „Małżeństwo z miłości”. Jest to film, posiadający wielkie walory artystyczne, a przedstawiający dramat społeczny i dramat rodzinny w najlepszym ujęciu oraz inteligentnej reżyserii. Baxter i Myrna Loy specjalnie „wypożyczona” przez „20-th Century-Fox”) są najlepszą marką aktorską i publiczność, znająca ten wspaniały duet, może być przekonana, że pokaże się jej film, którego tak prędko nie zapomni. Dobra reżyseria oraz świetne opracowanie scenariusza, to pozostałe walory filmu. Obraz pod względem tematu jest przeróbką znanej powieści Shermana pt. „To Mary with love”. Powieść ta przypadła tak do gustu czytającej publiczności, że z rozmaitych stron zaczęto szturmować wytwórnię „20-th Century-Fox”, aby ją sfilmowała.

Ale oto powstała trudność. Powieść jest jeszcze w druku i nikt poza autorem nie zna jej zakończenia. Wytwórnia „20-th Century-Fox” ogłosiła konkurs na wybranie odpowiedniego finału powieści. Konkurs wzbudził olbrzymie zainteresowanie i 500.000 głosów wypowiedziało się, jak właściwie powinien się skończyć film. Głosujący wskazali jednocześnie na Warnera Baxtersa i Myrnę Loy, jako tych aktorów, którzy bezwarunkowo winni zagrać główne role bohaterów powieści.

Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Film po ukończeniu zdobywa ogromne powodzenie i jest obecnie jedną z największych atrakcji artystycznych Ameryki.

Polskim komediom filmowym albo zbywa na dobrym pomyśle i w ogóle tematyce, albo na starannym wykonaniu i pomysłowej reżyserii, nie zapożyczającej się z archiwum wyranżerowanych pomysłów. Jednym z niewielu wyjątków od tej niechwalebnej reguły jest komedia „Piętro wyżej” z Eugeniuszem Bodo, Józefem Orwidem i Heleną Grossówną.

Historia zaczyna się prosto. Pan Hipolit Pączek (Orwid), właściciel domu przy ul. Szczęśliwej 13, wynajął o piętro wyżej nad swym mieszkaniem lokal młodemu muzykowi Henrykowi Pączkowi (Bodo). Henryk jest człowiekiem lekkomyślnym. Nie tylko układa rozkrzyczane foxtroty i tanga, ale do tego zaciąga długi. Stąd ustawiczne zainteresowanie jego osobą — komornika i magistrackiego wozu meblowego, windykującego należności podatkowe w naturze. Wszystko byłoby w porządku — lekkomyślność musi być ukarana — gdyby nie to, że egzekucje odbywają się o piętro... niżej u Hipolita Pączka.

Nie trudno sobie wyobrazić, jakie stąd wynika piekło. Powiększa je jeszcze skłonność statecznego pana Hipolita do muzyki klasycznej, gdy o piętro wyżej drżą ściany pod naporem murzyńskich melodii. Konflikt dźwięków i długów grozi katastrofą. Zażegnuje ją bratanica pana Hipolita, która zakochuje się w naszym lekkoduchu. Epilog nie trudny do dośpiewania.

Po filmie historycznym o skali monumentalnej „Romeo i Julia” z niezrównaną artystką Norma Shaerer w roli tytułowej

kino „Stylowy" dało nam świetny pastiż muzyczno-taneczny, w którym treść jest błaha, fantastyczna i wprost nie do wiary, ale w którym każdy metr filmu wprost trzęsie się od dynamicznych melodii i od zawrotnego tempa tanecznego.

W groteskowych, dowcipnie skojarzonych sytuacjach, przesuwają się roztańczone cienie bohaterów i bohaterek filmu. Wspaniała feeria i pantomina, w której sens jest wątpliwy, ale za to niewątpliwa jest suma doznań estetycznych, wzruszeń i zachwytów dla wirtuozerji, z jaką puszczono w ruch i umelodyjniono tę wielką rewię filmową, niby jakąś bajkę z tysiąca i jednej nocy... karnawałowej. —

„Miasto — Anatol", w Filharmonii, to mocny dramat, osnuty na tle powieści Kellermana, a zrealizowany przez reż. W. Turżańskiego z doskonałym realizmem. Nawet najbłahsze role obsadzone przez pierwszorzędnych artystów, najmniejsze nawet scenki, zagrane z rozmachem i precyzją — wszystko to stanowi interesująco podmalowane tło dla konfliktu między młodym inżynierem Gregorem, piękną i wykwintną panną Sonią i pół dziką chłopką — Franciszką. Gregor przybywa do miasta, aby rozpocząć na przyległych terenach wiercenie szybów naftowych. Całą ludność ogarnia szał naftowy, za którym kryje się szał złota. Młody Gregor staje się ulubieńcem wszystkich. Serce jego waha się między Franciszką a Sonią. O względy Franciszki ubiega się również brutalny kamieniarz Steinbrecher, który w porywie dzikiej zemsty wysadza w powietrze szyby naftowe, rujnując miasto.

Froehlich, jako Gregor, ukazał nam znów wysoką klasę gry skupionej i pełnej ekspresji. Sekundowała mu, jako Sonia, Rosa Stradner. Żywiołowość wcieliła w postać Franciszki Brigida Horney, typem i temperamentem przypominająca słynną Dolores del Rio. Kapitalną, tchnącą mocnym realizmem, figurę Steinbrechera stworzył Fritz Kampers. „Miasto Anatol", to jeden z najlepszych dramatów, jakie ostatnio weszły na ekran. Sceny zbiorowe: radość przy wytrysku nafty, po prostu bachiczna oraz paniczna chwila katastrofy — odmalowane zostały z porywającą realnością. —

Największą bodaj sensacją filmową będzie w chwili obecnej film z Paderewskim pt. „Sonata księżycowa". „Wróg kina", jakim był do niedawna mistrz fortepianu, dał się przebłagać. I oto zjawia się po przymusowym lądowaniu w pewnym arystokratycznym domu, by, uproszony, zagrać poloneza, „Rapsodię" Liszta i „Sonatę księżycową". Patos i romantyzm tej muzyki przemawia głęboko do dwojga młodych serc łagodząc wybuchły między nimi konflikt.

Wysoce interesujące będzie zapoznać się z niektórymi szczegółami realizacji. Przy fortepianie siedzi sam Paderewski, dokoła statyści, wypełniający salę koncertową, specjalnie zbudowaną pod kierunkiem Lawrence Irvinga. Sala oczywiście nie była w całości zapełniona; część jej, w miarę potrzeby, wraz z słuchaczami przesuwano w różnych kierunkach. Statyści tym razem byli rzeczywiście słuchaczami; niejeden wielbiciel i niejedna wielbicielka z najwyższych sfer towarzyskich Londynu siedzieli skromnie na sali. Trzeba było widzieć entuzjazm tych słuchaczów! Przekonany jestem, że każdy, kto film będzie oglądał wyczuje, że i statyści w nim nie grali żadnej roli, lecz — żyli, naprawdę wzruszali się i zachwycali genialną grą Paderewskiego.

Następnym filmem w Filharmonii będzie „Blond-Carmen" z Martą Eggerth. Treść wysoce romantyczna, bogactwo muzycznych uzupełnień składają się na świetną całość.

Do przeszłości kinematografii należą filmy z Rudolfem Valentinem, takie jak „Czarny orzeł" i „Syn szeika". Lecz sława wielkiego aktora trwa do dziś. Stąd ogromne zainteresowanie, jakie budzi jego biografia w szerokich kołach wielbicieli i wielbicielek jego talentu.

Świadczy o tym najlepiej pojawienie się drugiego wydania powieści Leopolda Brodzińskiego „Faun z Hollywood", osnutej na motywach życia Valentina. Z realizmem artystycznie umiarkowanym kreśli autor dzieje Rudiego, „czarnego anioła", jak go nazywała matka, prowadząc go po drodze kariery z dna nędzy na szczyty powodzenia. Są w tej karierze cienie moralne obok artystycznych blasków, lecz autor umie podkreślić w swym bohaterze tęsknotę za wyższym ładem życia.

Wśród błahych i poziomych nieraz uciech Rudi ma chwile jasne. Zwiedzając raz sierociniec „poczuł nagle, że i on kochałby z całego serca taką małą, śliczną istotę — własną, krew z krwi, ciało z ciała... w tej jednej chwili zrozumiał nagle tęsknotę do macierzyństwa u kobiet"... Rekapitulacją tego życia jest śmierć chrześcijańska. Walcząc ze śmiertelną dawką trucizny, Rudi kaja się przed Bogiem ze swego życia: „Grzeszyłem i błądziłem; byli ludzie, którzy odebrali mi wiarę, zatruwali jej czyste źródło, ale byli inni, którzy mi ją wrócili"... I pojednany z Bogiem kona w pełnej świadomości, że wreszcie osiągnął prawdę o życiu.

Z TEATRU

Wystawiony w T. Narodowym dramat irlandzkiego autora, Johnstona Denisa, „Księżyc w żółtej rzece", wprowadził nas niewątpliwie w bardzo oryginalne środowisko



„Taniec szczęścia". Pp. Łańska, Czerska, Szczepańska i Gierasieński.



Na zdjęciu od lewej: pp. W. Wojtecki, Z. Biesiadecki i J. Biesiadecka. Jubileusz 50 przedstawienia komedii „Zamieszaj" w Teatrze Malickiej.

narodowe, nasycone ciekawą atmosferą etyczną i estetyczną.

Sztuka Johnstona jest bez kwestii przełomowa dla irlandzkiego dramatu, jako zamknięcie minionej epoki i otwarcie perspektyw na nową. Jest ona czymś w rodzaju Wyspiańskiego „Wyzwolenia”, wyzwolić ma psychikę Irlandczyków z tak przez Bernadra Shawa, również Irlandczyka, potępianego marzycielstwa (Druga wyspa John Bulla) „Och to marzycielstwo. To dręczące, zżerające mózg i serce, nigdy nie ukojone marzycielstwo”, woła Larry, Irlandczyk, do swego przyjaciela Anglika. „Pod jego wpływem myślenie staje się zbytkiem, zbytkiem staje się trud i praca, zbytkiem staje się wszystko, prócz igraszek wyobraźni, która przeradza się wreszcie w taką męczarnię, że nie można jej znieść bez wódki”. — Johnston postanowił właśnie ściągnąć swój naród z obłoków marzeń, zmierzyć go z rzeczywistością, choćby krwawo przyszło się do niej dopracować, i w ten sposób wyratować go od drugiego krańcowego niebezpieczeństwa, od sceptycyzmu, jako reakcji na fikcje marzycieli. W otchłani tego szyderstwa, na przekór Arielowej pieśni marzycieli, dudni złowrogi śmiech i „rozlega się ponad krajem okropny, bezmyślny i złowieszczy... Człowiek śmieje się i śmieje i śmieje bez końca. Wieczne szyderstwo i wzgarda, wieczna zazdrość i zawiść, wieczne szaleństwo i bezeceństwo, wieczna hańba i poniżenie!”

Śmiertelną walkę wypowiada autor na obu biegunach królującym bogom: marzeniu i szyderstwu. Lekko, nieomal komediowo naszkicowawszy spięcia kontrastowe między tymi biegunami, daje mocną, męską, głęboką mądrością nacechowaną konkluzję: „Beatrycze, la dolce guida, słodka przewodniczko, odbierz nam, zabij w nas ten przeklęty, piekielny dar śmiechu, a daj nam w zamian łzy — ciepłe, radosne łzy serca”...

Po tej sztuce o nastroju rewolucyjno narodowym obok „Wesela Figara”, które niesie zalążki rewolucji społecznej, wystawia obecnie T. Narodowy „Fieska” Schillera, sztukę rewolucyjno republikańską. Słowem teatry stoją dziś pod znakiem rewolucji! Karnawałowa publiczność ma się czymś wzruszać, zanim zajrzy jej w oczy popielcowa groza.

„Fiesko” — młodzieńczy utwór Schillera, nie jest właściwie tragedią, ma zbyt operowy rozmach i jego finał może być doprawdy dwojaki. W pierwszej wersji — Schiller kazał mu ginąć z ręki republikanina Verriny. W drugiej wersji pozwala mu wrócić do domu i po drobnomieszczańsku dokonać żywota. Ale nie to jest w „Fiesku” ważne.

Walory jego polegają na czysto teatralnych efektach, nagromadzonych z młodzieńczą brawurą, które potem stały się wzorem dla francuskiego romantyzmu z Wiktorem Hugo.

W „Fiesku” obok głównego wątku, próby rewolty, pieni się kapryśny nurt intrygi, bardziej bodaj bogaty niż to jest „W intrydze i miłości”. Każdy nieomal z bohaterów nosi maskę obłudy, pod którą kryje się twarz wykrzywiona jakąś namiętnością polityczną, miłosną, czy wreszcie gorączką interesu.

Wszystko to kipi jak górski potok, kłębi się i przelewa przez scenę, wypełnia każdy jej zakątek, gwarem i akcją, rodzi błyskawice spięć dramatycznych.

Widowisko jest całe naelektryzowane, podniecające, budzące krew w żyłach, apelujące do nagłej interwencji widza, i w tym jest dynamika rewolucyjna utworu. Nie pozwala on na refleksje, każe działać żywiołowo, wskoczyć w to kłębowisko żmii, zmieszanych w splotach intrygi, i ciąć na oślep...

Tę dynamiczność z dużym kunsztem uwidoczniono na scenie. — Znakomita, jak zwykle oprawa, pogłębiła efekt.

Co się dzieje, kiedy mąż zawieruszy się na całą noc i wróci o siódmej rano? Na pytanie to daje pełną humoru odpowiedź sztuka A. Herza „Zamieszaj”, wystawiona w teatrze pani Malickiej. Pan Emil miał właśnie nieszczęście przepaść na noc. Rankiem musi się tłumaczyć i w rozpaczliwym poszukiwaniu wymówki rzuca pierwsze lepsze nazwisko „przyjaciela”, który go zatrzymał do świtu na pogawędkę. — I akcentuje to wybiciem szyby! Nagle dzwonek. I oto na progu staje przyjaciel Trajan Bosandresku z Pitesti. Czy to możliwe, aby kaprys fantazji wcielił się w żywego człowieka? A jednak.

I teraz dopiero zaczyna się kręcić istny kalejdoskop nieprawdopodobnych qui pro quo. Niechcący nieszczęsnemu Emilowi wyrwało się, że Trajan jest żonaty. Tego tylko było potrzeba żonie Emila.

Z miejsca decyduje się, zaprasza oboje do domu. Tymczasem nasz Trajan jest kawalerem. Za to Emil wiedzie podwójne życie, żona i kwiaciareczka Olga składają się na nie. Trajan postanawia dać nauczkę Emilowi i... sprowadza mu pod dach Olgę. Intryga została zamieszana aż do gruntu. Do tego coctailu wsadza jeszcze swój wścibski nos szwagier Emila, były sędzia śledczy, karykatura Szerloka Holmsa. Powoli wreszcie wyjaśniają się różne mistyfikacje. Nasz Emil, drżący, by na jaw nie wyszła jego „aferka” z Olgą, wraca na drogę cnoty małżeńskiej.

Farsa kipi od niespodzianek zabawnych i na ogół w ryzach utrzymanych powiedzonek. Rolę Trajana zagrał z finezją, sięgającą do skali środków Osterwy, p. Wojtecki.

J. St. Czarnecki.

Z MUZYKI

Trzeci międzynarodowy konkurs szopenowski, odbywający się obecnie w Warszawie, skupia, jak się należało spodziewać, uwagę nie tylko kół muzycznych, ale i całej Polski. Ba — nawet i zagranicy, gdyż niektóre audycje konkursowe nadawane są przez radio. Korzystam więc z ostatnich chwil, poprzedzających otwarcie tych świetnie pomyślanych zawodów międzynarodowych, aby odszukać przewodniczącego jury, dyrektora *Adama Wieniawskiego* i prosić go bodaj o krótki wywiad dla naszych czytelników. Inicjatorem konkursów jest, jak wiadomo, ceniony pianista i pedagog, prof. *Jerzy Żurawlew*, lecz trudy wykonania już po raz trzeci tej trudnej i skomplikowanej imprezy artystycznej niesie na swoich barkach niemal wyłącznie dyr. Wieniawski. Nasza rozmowa toczy się w warunkach wyjątkowych. Mój rozmówca pochłonięty jest pracą organizacyjną, pokazuje mi w toku rozmowy księgi korespondencji z kandydatami, zapisane jego ręką. Praca to olbrzymia, jeśli się zważy, że sprawa zgłoszeń z zagranicy i kraju, to jedynie drobny fragment. Ile listów trzeba było wymienić, aby zapewnić sobie udział w jury konkursów takich potentatów fortepianu, jak Wilhelm Backhaus, Alfred Cortot, Emil Sauer, Dohnanyi czy Bela Bartok, nie licząc dziesiątków innych wybitnych pianistów z całej Europy a nawet z dalekiej Japonii (prof. Takaori). Trudno wprost uwierzyć, że większość tej odpowiedzialnej pracy organizacyjnej mógł dokonać jeden człowiek. Dyr. Wieniawski ukazuje mi plan zawodów, wspomina o najliczniejszej ekipie polskiej, o niewielkich subsydiach i olbrzymich, w tysiącach złotych wyrażających się kosztach imprezy. Cały komitet organizacyjny zdaje sobie jednak sprawę, że warto jest dołożyć pracy do tej najbardziej dla nas reprezentacyjnej i w całym tego słowa znaczeniu propagandowej uczty muzycznej, która ugruntowuje zwłaszcza za granicą naszą polskość i *polskość Fryderyka Szopena*. Nagród konkursowych jest siedem, nie licząc dyplomów uznania. Pierwszą z nich ufundował Protektor konkursu, *Pan Prezydent Ignacy Mościcki*, wynosi ona zł 5 tysięcy. Następne nagrody (M. S. Z. i Min. W. Rel.) po zł 2.500, dalsze po 2.000 i 1.000 zł. Ilość nagród drobniejszych pomnożyła się w ostatnich dniach ofiarami naszych instytucji kulturalnych i społecznych. Oczywiście, że trudno przewidzieć (po tygodniu trwania rozgrywek) kto z zawodników osiągnie drugi stopień eliminacji, tj. dopuszczonym będzie do wykonania jednego z koncertów Szopena z orkiestrą. Tym mniej nie sposób jest dzisiaj przeczuć, którzy z nich osięgną wysokie nagrody. Zainteresowanie trzecim konkursem jest olbrzymie, pomimo panującego chłodu, sala Filharmonii zapełnia się codziennie publicznością, śledzącą z zajęciem wykonanie przepisowego programu, na który składają się jedna z sonat Szopena, dwie etiudy, mazurek i nokturn (dowolny), na zakończenie jeden z wielkich polonezów. O fizjonomii niektórych ciekawych zawodników — w następnym felietonie. Trzeba jednak przyznać, że ogólny poziom grających jest tym razem wyjątkowo wysoki. Konkurs szopenowski, jak to już zaznaczyłem, to jeden z najbardziej udanych pomysłów propagandowych, jeśli idzie o muzykę w czasach ostatniego dziesięciolecia. Na marginesie tych najważniejszych wydarzeń w naszym życiu muzycznym pragnąłbym omówić najciekawsze momenty bieżącego okresu sprawozdawczego. Nie brakło ich, zwłaszcza jeśli idzie o estradę.

W Operze za to zapanowała jakaś dziwna cisza. Zapowiedziane przez dyrekcję nowe inscenizacje i premiery dotąd jeszcze nie ujrzały światła kinkietów. Oczekujemy z niecierpliwością na ukazanie się „Fata Morgana” śp. Wertheima, na „Josephslegende Ryszarda Straussa i wielu innych obiecanych nowości repertuaru. Na razie więc mówić można raczej o wykonawcach, niż o autorach. Sądząc po „Aidzie” i „Halce”, pozwalam sobie twierdzić, że zaangażowanie p. *Sławy Orłowskiej-Czerwińskiej* było posunięciem rozumnym i pożytecznym. Piękno głosu artystki, jej wybitny nerw dramatyczny i dobre bardzo warunki zewnętrzne składają się na całość wielce pociągającą. Pani Orłowska ma już w operze „swoich” słuchaczów.

Gościnne występy artystki japońskiej, *p. Teiko Kiva* ściągnęły na „Madame Butterfly” dużo ciekawych. Operując niewielkim głosem, dzięki zaletom gry swojej, no i... egzotyczności nazwiska, Teiko Kiva jest nadal, jak w sezonach poprzednich atrakcją dużej miary. Za to gościnne występy *p. St. Grzuszczyńskiego* sprawiły nam zawód. Przerwa kilkoletnia odbiła się bardzo niekorzystnie na stanie ongiś bardzo pięknego jego głosu. „Pajace” wobec tego nie sprawiły nam większego zadowolenia artystycznego. Uwaga słuchaczów skupiała się tym razem na *Mossakowskim* od pierwszych taktów pięknie zaśpiewanego przezeń prologu.

Cóż pisać o *p. Maryli Karwowskiej?* Artystka ta mogłaby śmiało sięgnąć po sceny zagraniczne. Pamiętamy dobrze jej sukcesy w Ameryce, dzielone z *p. Januszem Popławskim.* Trzeba usłyszeć Karwowską w „Manon" czy też w „Onieginie", nie mówiąc już o „lekkiej partii Anity w „Nocy weneckiej" — aby się przekonać, jakiej miary artystkę posiadamy ponownie na scenie warszawskiej. Bardzo często widzimy u pulpitu kapelmistrzowskiego *p. Sillicha.* Jest on niezrównany zwłaszcza w operach włoskich, w których jakże pięknie zapisał się w pamięci starszych słuchaczów, jego ojciec jako przepyszny basista. Przewinął się we wspomnianym „Onieginie" mocno już podstarzały *Smirnow* i *Bałaban.*

Na estradzie naszej Filharmonii gościliśmy niedawno wielkiego *Fritza Kreislera.* Nie ma chyba nikogo, kto by nie wiedział, kim jest ten skrzypek wiedeński, którego gra, pomimo przekroczonej sześćdziesiątki, lśni jeszcze od świetnych chwytów technicznych, pełną jest elegancji iście wiedeńskiej. Kreisler oczarował nas po prostu swoją wielką sztuką, jeśli zaś idzie o stronę kompozytorską, niezrównanymi w pomysłach „kadencjami" do koncertów skrzypcowych Mozarta i Paganiniego. Być może tu leży przyczyna słabej frekwencji na recitalu bardzo poważnego skrzypka naszego z Londynu, *p. Stanisława Frydberga.* Nie słyszałem go od lat kilku. Gra Fr. pogłębiła się, obok zawsze pięknego tonu przybyła świetna technika i jakaś niezwykła „grandezza", z jaką artysta wykonał koncert skrzypcowy Głazunowa, słynną Ciaconnę Vitalego i szereg mniejszych, ale równie pięknych utworów nowoczesnych. Powtarzam że gdyby nie sugestywna działalność koncertów Kreislera recital skrzypcowy p. Frydberga w sali Konserwatorium cieszyłby się daleko większym, w pełni zasłużonym udziałem publiczności. Obok skrzypków idą liczni pianiści, jakich słyszeliśmy w okresie sprawozdawczym. Słynny Fryderyk *Lamond,* podobno jeden z ostatnich uczniów Liszta, równie jak Frydberg miał nieliczną publiczność. Czyżby to wielkie nazwisko nie dotarło do naszej arcymuzykalnej stolicy? A szkoda bo koncert Lamonda odsłaniał karty najpiękniejszego rozkwitu literatury fortepianowej.

Śmiało i bez kompromisów idzie naprzód młodziutka pianistka, *p. Edwarda Feinsteinówna.* Słuchając jej gry od kilku lat i znając ideały, towarzyszące codziennej, trudnej pracy muzycznej, nie umiem dostatecznie wyrazić swojego uznania dla tej młodej artystki. Jej recital tegoroczny, rozpoczęty Bachem, a zawierający utwory tej wartości co „Ballada" Griega (utwór trochę nudny w swojej fakturze), „Wariacje" fis-moll Brzezińskiego, czy cykl transkrypcyj Liszta świadczył już na pierwszy rzut oka o poważnych aspiracjach wykonawczyni. Lekkość gry „par excellence" palcowej, wyborne oktawy („Król Olch") i ogólne wzmożenie się siły ekspresyjnej — oto syntetyczne wrażenia z niedawnego recitalu p. Feinsteinówny.

Kończąc przegląd pianistów wspomnę o *Egonie Petrim,* który tym razem sprawił nam niespodziankę grając koncert e-mol Szopena. Znamy dobrze i cenimy Petriego jako świetnego odtwórcę Bacha i innych klasyków, wydaje się nam jednak, że romantyzm nie leży w jego usposobieniu i rodzaju uderzenia.

Pomimo to drugą „niespodzianką" była zagrana przezeń nad program „Berceuse" Szopena. Subtelne uderzenie i ciekawa dynamika dziwnie kontrastowały z wykonanym kilka chwil wcześniej koncertem e-mol. I to się dało wyczuć na sali. Słyszeliśmy jeszcze młodego pianistę angielskiego *Kitchina,* który dał się słyszeć na „środzie" szopenowskiej w radio, oraz dał recital swój w Konserwatorium. Kitchin posiada w grze może zbyt dużo sentymentalizmu, ale gra jego jest ciekawą i pełną prostoty. Szkoda jedynie, że w recitalu radiowym grał słynną sonatę b-moll (z marszem żałobnym), w którym brakowało tego tragizmu, do jakiegośmy przywykli. Bardzo duże zainteresowanie wywołały występy pani *M. Karklin* z Rygi, zwłaszcza że słyszeliśmy ją niezbyt dawno na recitalu... fortepianowym.

Trudno jest orzec, w czym jest p. Karklin lepszą — w śpiewie, czy w grze fortepianowej. Śpiewała partie Małgorzaty w „Fauście" i Neddy w „Pajacach". Po gościnie p. Lidii Blumentals sprzed czterech lat był to pierwszy udany występ gościnny śpiewaczki łotewskiej na scenie polskiej.

Wreszcie zdarzeniem w naszym świecie muzycznym był 75-letni jubileusz pierwszej uczelni muzycznej, *Państwowego Konserwatorium w Warszawie.* Warto zatem podać bodaj syntetycznie trochę wiadomości o losach naszego Konserwatorium w ciągu tych lat siedmiu dziesiątków. Już w roku 1826 istnieje w stolicy wyższe studium muzyczne pod dyrekcją Elsnera, jako Szkoła Główna Muzyki. Z tej to uczelni wyszedł w świat największy nasz twórca, Fryderyk Szopen. Powstanie 1830/31 roku przerywa normalną pracę w Szkole, która w r. 1831 ulega zamknięciu. Aż do r. 1861 Warszawa a wraz z nią cała Polska nie posiada wyższej uczelni muzycznej. Dopiero dzięki wpływom i osobistym staraniom *Apolinarego Kątskiego* (świetnego ówczesnego skrzypka-wirtuoza) udaje się uzyskać u władz petersburskich zezwolenie na otwarcie nowej uczelni pod nazwą Instytutu Muzycznego, mieszczącej się już w części obecnego gmachu na Okólniku.

Przez lat osiemnaście pełni Kątski odpowiedzialne obowiązki dyrektora Instytutu, ofiarowując sporo z własnych swych funduszów na cel umiłowanej uczelni. Po jego śmierci kierownictwo Instytutu przejmują kolejno kompozytor Al. Zarzycki, Emil Młynarski, Melcer, wreszcie Stanisław Barcewicz i Karol Szymanowski, ostatni jako pierwszy rektor szkoły, przemianowanej już na Konserwatorium. W tych czasach przewijają się przed naszymi oczami postacie tak wybitnych pedagogów jak Aleksander Michałowski, Ludwik Urstein, Roman Statkowski, Piotr Maszyński i grono obecnych profesorów. Dobrze się stało, że ku upamiętnieniu siedemdziesięciopięciolecia istnienia Konserwatorium obecny jego rektor, świetny kompozytor nasz, *Eugeniusz Morawski* przyczynił się do zorganizowania obchodu jubileuszowego, a co ważniejsze, do wmurowania w fasadę uczelni pomnika ku czci jej założyciela, Apolinarego Kątskiego. Należy też przypuszczać, że jednym z celów uroczystości będzie bodaj skromny dar dla jedynego pozostałego przy życiu sędziwego już syna Kątskiego jako wyraz wdzięczności za trudy i koszty bez miary, jakie włożył w organizację Konserwatorium warszawskiego jej założyciel.

W chwili, kiedy piszę te słowa, cała uwaga naszego muzykalnego świata skupia się dookoła rozpoczętych przed kilku dniami rozgrywek konkursowych. Szopen i tylko Szopen stanowić będzie długie jeszcze tygodnie oś zainteresowania Warszawy. Nic więc dziwnego, że w tych ramach mieści się poniekąd na drugim planie wszystko inne ze sceny i estrady chociażby było najprzedniejsze.

Szopen i jego nieśmiertelna twórczość stały się alfą i omegą naszych przeżyć estetycznych, darujcie więc, że znalazły one swoje odbicie w dzisiejszym felietonie piszącego.

Wł. B.

ZE SZTUKI

W Instytucie Propagandy Sztuki otwarto doroczny salon malarski. Otwarcia wystawy dokonał wiceminister w. r. i o. p. prof. Józef Ujejski w obecności licznie przybyłych przedstawicieli świata kulturalno-artystycznego stolicy. Przed otwarciem wystawy zabrał głos w imieniu prezydium I. P. S.'u prof. Z. Kamiński, podkreślając odrębny charakter tegorocznego salonu.

„Salon obecny", mówił prof. Kamiński, „pod względem organizacyjnym jest wynikiem szeregu prac programowych, podjętych w celu dania możliwie pełnego przeglądu współczesnego malarstwa polskiego. Dokonanie takiego przeglądu jest rzeczą szczególnie ważną jako pewnego rodzaju przygotowanie do udziału malarstwa polskiego na międzynarodowej wystawie w Paryżu w roku bieżącym".

W salonie obecnym bierze udział 112 artystów-malarzy, reprezentujących różne ugrupowania, ilość zaś dzieł wystawionych wynosi 162. Stosownie do swego programu, wystawa obejmuje wyłącznie tzw. obrazy sztalugowe z wyłączeniem wszelkich szkiców rysunkowych i projektów czysto dekoracyjnych.

Zachęta po dorocznym salonie ma znów serię wystaw zbiorowych. Na czoło lutowego kompletu wysuwa się wystawa śp. Konstantego Górskiego. Jej gros stanowi portret. Górski, jako portrecista, hołdował słusznemu założeniu, że portret to nie jest wizja impresjonistyczna, lecz podobizna. Niewątpliwie z Górskim nie był do pomyślenia zatarg, jaki się zdarzył bodaj Witkiewiczowi, którego ktoś zaskarżył do sądu z powodu zbyt fantastycznie namalowanego portretu, żądając zwrotu pieniędzy. Witkiewicz na to zareplikował, że nie jest fotografem ulicznym, że nawet fotograf robi retusze, a cóż dopiero artysta, którego obowiązkiem jest wydobyć treść psychiczną z modelu.

Słusznie. Tę treść wydobywać należy. Tylko chodzi o to, w jaki sposób. Jeśli Witkiewicz na marginesie swych portretów pisze jakąś kabalistyczną formułę w rodzaju $Kr^2 + Ig - Es^3$, co podobno po odcyfrowaniu oznacza: Kretyn do kwadratu plus Ignorant, mniej Esteta do sześcianu, to nie daj Boże jeśli ktoś domyśli się takich impertynencji. Ale choćby nawet. Czy doprawdy rola malarza jest równa roli matematyka-psychotechnika, czy nie ma on do rozporządzenia środków plastycznych, które mogą wyrazić w duchu i stylu epoki, a w świetle psychologii ogólnoludzkiej podobiznę zewnętrzną i wewnętrzną modelu. Tak postępowali właśnie mistrze portretu najrozmaitszych epok, którzy poza pewnym schematyzmem i konwenansem „oficjalnej" maniery dotrzeć potrafili do głębi duszy ludzkiej.

Tak postępują wielcy naśladowcy wielkiej szkoły portretowej. Proszę sobie przypomnieć, przed paru miesiącami umieszczony w „Rodzinie" cykl portretów przeorów jasnogórskich pędzla Aleksandra Borawskiego. Ile tam drzemie utajonego w pewnych akcesoriach kompozycji figury i rysunku mimiki oblicza szczegółów charakterologicznych.

Te załamania rąk, te zaciśnięcia ust, te ściszenia lub rezedrgania kolorystyczne, ta masywność lub ascetyczność figur umiejętnie a dyskretnie podkreślona składa się na kapitalną grę motywów psychologicznych, z których wydobywa się na jaw człowiek wewnętrzny i jego historia, jego wzloty i upadki. Kto odczyta pod portretem nazwisko, ten znajdzie w podobiźnie wyraz znanych faktów i jakby ich rację.

To jest dopiero mistrzostwo.

Portret oczywiście można pojmować i tak, jak to czyni Styka Tadé, który pochlebia swym pacjentkom, wyaniela je, stylizuje na anioły, czy demony, wydobywając czy wyolbrzymiając jeden rys. Ten sposób szczególnie podoba się kobietom, które są rzeczywiście z natury swego usposobiena mniej skomplikowane, zwłaszcza tzw. damy światowe pod powłoką bardzo skomplikowanego makijażu (proszę czytać recepty kosmetyczne p. Simpson) ukrywają jedną czy drugą stereotypową nutkę charakterologiczną, którą zgrywają aż do nieprzytomności i do zadręczenia ludzi w najbliższym środowisku. Tadé Styka rozumie w kobiecie skłonność do monumentalizowania jakiejś ulubionej pozy życia i utrwala ją według paru szematów.

Wracając do Konstantego Górskiego trzeba zauważyć w nim również tę pewną manierę konwencjonalną, zrozumiałą u portrecisty zawodowego.

Czasami tylko poprzez utarte chwyty wydobywa się na jaw artysta, żądny rozwiązania istotnych zagadnień plastycznych i malarskich.

Po linii szukania nowych rozwiązań plastycznych poszedł Stanisław Czajkowski. Uczeń Stanisławskiego, rozmiłowanego w polskim pejzażu, idzie w ślady mistrza i po dawnych seriach podkrakowskich z Bronowic i Toń, czy z Podhala, prowadzi dziś widza „szlakiem Mickiewiczowskim".

Jeśli chodzi o manierę, to tryumfuje tu plama barwna, rzucona szeroko i grubo. Poniekąd harmonizuje to z krajobrazem nowogródzkiej ziemi i toniami jej wód i szmatami jej lasów. Lecz nie zawsze przyroda da się „z grubsza" wyrazić. Tymczasem na subtelniejsze jej odczucie nie pozwala zbyt surowa sumaryczna technika. Wtedy widz czuje się zakłopotany i trochę rozżalony na artystę.

Poza tym ostatnia wystawa przyniosła nam zakopiański cykl Stanisława Klimowskiego, zbiorową wystawę Macieja Nehringa, znanego ze swej wirtuozerji w dziedzinie akwareli i wyzyskiwania białej plamy papieru. Technika ta święci tu w ostatnim zbiorze swój tryumf.

Z PIŚMIENNICTWA

Za granicą.

Sytuacja literatury we Włoszech. W styczniowym numerze *The London Mercury* znajdujemy bardzo ciekawy artykuł „O literaturze włoskiej i innych rzeczach", którego autorem jest Ignazio Silone. Ignazio Silone dał się już poznać szerszemu ogółowi w dwóch książkach: *Fontamara* i *Chleb i wino*. Jest to niewątpliwie najpoważniejszy z pisarzy, których wydała reakcja przeciwko faszyzmowi. Tym bardziej, że (jak stwierdza V. M. L. Scott) wzgardzając propagandą, umie on przedstawić „brutalność postawy faszystowskiej za pomocą czysto obiektywnych metod twórczego artysty".

Zdaniem Ignazio Silonego społeczeństwo włoskie cierpi od dawna na chorobę retoryki. Mówca — orator — był zawsze najwybitniejszą postacią w życiu kraju poprzez wszelkie powierzchowne zmiany ustroju i rządów. A gdzie potęga wymowy okazywała się niedostateczna — z pomocą przychodziła siła. I tak było od wieków. Na dnie historii kulturalnej Italii znajduje się „tkanina wspaniałej lecz pustej retoryki i wyrafinowanej brutalności". Jednym słowem — Włochy są krajem „uzbrojonej wymowy".

Motto „Książka i karabin" figuruje na wielu nowoczesnych włoskich wydawnictwach dla młodzieży w formie winietki, przedstawiającej karabin spoczywający na książce. W rzeczywistości jest odwrotnie. „Ale mimo poparcia karabinu, literatura włoska znajduje się w stanie ostrej depresji". Włosi czytają coraz mniej, a jeśli czytają, to tłumaczenia książek obcych, a przede wszystkim rosyjskich przedrewolucyjnych, mimo że te ostatnie od czasu nakazu rządu z r. 1927 szczególnie wysokimi opatrzone są cenami. Zagadnienie, czemu Włosi nie czytają swych własnych autorów, stało się klasycznym tematem dyskusji.

Giuseppe Prezzolini, obecnie propagator faszyzmu w Ameryce Północnej, pisze w swej książce *La Cultura Italiana:* „Bonghi podniósł kwestię, czemu literatura nie jest popularna we Włoszech. Odpowiedź jest łatwa: bo literatura włoska nie pochodzi od ludu, ale zawsze była wytworem klas wyższych. Była literaturą szlachty, dworu, księży, a w naszym stuleciu profesorów". Bonghi żył w końcu XIX w., toteż mamy najlepszy dowód, że ustrój dyktatorski nie jest bynajmniej przyczyną, ale raczej jednym ze skutków owej choroby retoryki. Można nawet powiedzieć, że historia literatury nowoczesnej Italii jest niczym innym, jak kroniką nieudanych prób uwolnienia kulturalnego życia kraju spod władzy retoryków. Typowymi przedstawicielami tych ostatnich byli: D'Annunzio i Pascoli. Przeciwko „tej metodzie ukrywania podłości i trudu rzeczywistego życia poza fasadą z marmury i dźwięczących wierszy" występowało wielu: Soffici, Boine, Jahier, Slataper, Papini, Prezzolini, Amendola, Gaeta, Gozzano, Corazzini, Palazzeschi, Russo, Borghese... Cóż, kiedy jeśli nawet w dyskusji mieli rację, własna ich twórczość artystyczna nie stanęła na poziomie argumentów. — W walce sami zarazili się retoryką. —

W rezultacie jeden jest fakt dominujący: w obecnej literaturze włoskiej zupełnie brak prawdziwych powieści, „twórczych, głębokich, oryginalnych dzieł, podających rozległe przekroje społeczeństwa". Papini próbował nawet w zbyt arbitralny sposób wytłumaczyć to na drodze rozumowania i i niezdolność do tworzenia dramatów i powieści przedstawić jako charakterystyczną cechę umysłu włoskiego. — W każdym razie, stwierdza na zakończenie Ignazio Silone, zbiegła się obecnie granica pomiędzy retoryką, a żywą sztuką z granicą pomiędzy legalnością a nielegalnością. — A jeśli wspomnimy, że Prezzolini nazywa ją w dodatku granicą społeczną — wyda się ona tym trudniejsza do przebycia. Bo przecież nie można namalować prawdziwego obrazu społeczeństwa bez osądzenia go. — A dla włoskiego pisarza znaczy to pójść na wygnanie, lub do więzienia — albo wreszcie znaleźć klasę społeczną.

Chiński miesięcznik. W Szanghaju wychodzi jedyne w swoim rodzaju, bardzo ciekawe pismo chińskie, drukowane w języku angielskim. *T'ien Hsia Monthly* (Miesięcznik Tien Hsia) jest wydawany pod protektoratem nankińskiego Instytutu Sun-Yat-Sen dla szerzenia kultury i wykształcenia. Pismo to stoi rzeczywiście na wysokim poziomie. Oto naprzykład w jednym z ostatnich numerów mamy oryginalny i głęboki przyczynek do krytyki szekspirowskiej pt.: „Szekspir jako taoista". John C. H. Wu, autor artykułu, powiada: „Co za cudowne emocje daje urodzić się żółtym, a być wychowanym jak biały". Dalej mamy kronikę artystyczną, szkic historii i rozwoju druku w Chinach, studium pewnej chińskiej sztuki teatralnej i jej wpływu na literaturę dramatyczną Europy XVIII w., wreszcie nowelę i doskonałe recenzje.

Stulecie Puszkina. 10 lutego bieżącego roku przypadła stuletnia rocznica śmierci największego poety rosyjskiego, Aleksandra Sergiejewicza Puszkina. Ogólna liczba wszystkich wydawnictw sowieckich z okazji tego jubileuszu, mających na celu spopularyzowanie osoby Puszkina, wyniosła 13.400.000 egzemplarzy.

Puszkin urodził się w r. 1799 z rodziny starej, lecz niezbyt zamożnej. Matka jego była prawnuczką sławnego „Afrykańczyka", który zrobił świetną karierę wojskową na dworze Piotra Wielkiego. Po niej to Puszkin odziedziczył gwałtowny i despotyczny charakter. — Zwyczajem szlachty rosyjskiej XVIII wieku w domu Puszkina rozmawiano po francusku, tak, że i poeta już jako mały chłopiec biegle władał tym językiem i od lat dziewięciu chciwie pochłaniał francuską bibliotekę ojca. W r. 1811 młody Puszkin został oddany do nowoutworzonego przez Aleksandra I w Carskim Siele liceum, mającego na celu przygotowanie kadr urzędników odpowiednich do projektowanych reform rządowych. Kierunek studiów, szczególnie w dziedzinie literatury i historii bardzo odpowiadał Puszkinowi, toteż szybko zaaklimatyzował się on w nowym środowisku i zaczął pisać wiersze, które zamieszczał przeważnie w piśmie szkolnym, a z których jeden zawędrował nawet do dużego przeglądu petersburskiego. Pierwsze trzy lata po ukończeniu szkoły spędzone w Petersburgu (1817 — 1820), są najbardziej ruchliwe i burzliwe z życia poety. Napisał wtedy swój pierwszy wielki poemat: *Rusłan i Ludmiła*. Ale podejrzenia władz, skierowane na Puszkina przez jego zbliżenie z młodzieżą postępową, spowodowały przeniesienie go na południe Rosji. Tam Puszkin zaczął *Więźnia na Kaukazie*, *Fontannę Bakczysaraju* i *Eugeniusza Onegina*, nie mówiąc już o mniejszych dziełach. Lecz z powodu złośliwego epigramu na swego nowego zwierzchnika Puszkin był zmuszony opuścić urząd i wrócić do rodzinnego majątku Michajłowskoje w Pskowskim. We wrześniu 1826 r. został wezwany przez nowego cara Mikołaja I i otrzymał pozwolenie przebywania gdzie zechce, rozszerzone i na Petersburg w r. 1827. Mikołaj I bowiem pragnął mieć dworskiego poetę. W grudniu 1828 r. Puszkin, przejeżdżając przez Moskwę, poznał na balu młodziutką Natalię Gonczarow — i zakochał się. Ślub nastąpił w lutym r. 1831. Ale niezdecydowana i obdarzona ptasim mózgiem (jak powiada Mikołaj Brian-Szaninow) Natalia wcale nie była odpowiednią żoną dla geniusza. Puszkin zrozumiał to szybko, a jednak starał się zachować tę samą serdeczność i pozwolił błyszczeć klasycznej jej piękności na carskim dworze. Z powodu żony w zimie r. 1837 Puszkin miał pojedynek z Georges d'Anthès i na trzeci dzień zmarł skutkiem odniesionej rany. Na podstawie nowoodkrytych dokumentów zostało stwierdzone, że śmierć Puszkina w pojedynku była samowolna. Pu-

szkin jest twórcą nowoczesnego rosyjskiego języka literackiego, jest reformatorem poezji i rzeczywistym twórcą rosyjskiej prozy. Dzieło jego jest nadzwyczaj bogate: od epigramów, poezji epikuryjskiej, anakreontyckiej, do poezji lirycznej, do poematów epickich, do dramatu, baśni ludowych — a wreszcie prozy i historii. Zasadniczym, największym wpływem, jaki się uwidacznia od początku do końca tego dzieła — jest wpływ Voltaire'a.

Henri Duvernois — mistrz noweli. Zmarł niedawno w Paryżu, nagle prawie, lecz po kilkuletniej chorobie, Henri Duvernois, jeden z najsympatyczniejszych, typowych dla Francji pisarzy. Nic też dziwnego, że Francis de Miomandre poświęca mu dłuższy artykuł na łamach *Les Nouvelles Littéraires.*

Henri Duvernois wcześnie opuścił rodzinę, aby szukać dróg do świata literackiego. Jako sekretarz księgarni Charpentier poznaje wszystkie ówczesne sławy: Goncourtów, Zolę, A. Daudeta. Jednocześnie pracuje jako dziennikarz, pisząc wszelkiego rodzaju artykuły — od reportażu do krytyki literackiej, a przy tym obraca się w środowisku cyganerii paryskiej. Tyle było w jego utworach optymizmu, wesołości i prawdziwie paryskiego dowcipu, że od razu pierwsze książki zdobyły sobie znaczny rozgłos. Ale Duvernois nie poprzestaje na tym łatwym sukcesie i próbuje swych sił na dwóch różnych polach: fantazji *(Edgar)* i wielkiej powieści popularnej *(Faubourg Montmartre).* Na tej ostatniej krótko się zatrzymał, czując potrzebę miary i wzdragając się instynktownie przed „wielkimi słowami, przesadzonymi uczuciami i nieprawdopodobnymi sytuacjami". Ograniczył się do fantazji, siląc się jednocześnie przystosować ją do granic realnego życia. Ale wraz z dojrzałością duchową przychodzi zrozumienie tragizmu, istniejącego równolegle z komizmem życia. Nie stracił bynajmniej humoru, ale utwory jego nabrały głębi. Ten drugi okres twórczości stworzył prawdziwe arcydzieła w dziedzinie noweli. Trzeci okres Duvernois poświęca głównie pisaniu dla teatru. Nie tyle z zamiłowania do tej formy sztuki, ile dlatego, że mu tylekroć razy powtarzano, iż posiada wszystkie dane na autora dramatycznego. Zaczyna od doskonałych krótkich scen, a następnie przy dłuższych sztukach współpracuje ze sławnymi specjalistami, którzy jakoby mieli go nauczyć tajnych arkanów rzemiosła. Nie nauczył się on od nich nic, ale za to oni skorzystali wiele z jego dowcipu i daru obserwacji. Subtelny, lekki, serdeczny, smutny bez goryczy, nie znający świata poza Paryżem, ani Paryża poza pewnym jego wycinkiem, ale znający ten tak dobrze, że wystarczyło to, aby mu zastąpić doświadczenie całego świata".

M. Buyno

Z Polski.

Laureat nagrody młodych. A jednak wbrew przewidywaniom nagrodzono w roku bieżącym również poetę! W dodatku kandydata bezkonkurencyjnego... Nagrodę młodych Polska Akademia Literatury przyznała autorowi tomu wierszy pt. „Demonom nocy", Józefowi Łobodowskiemu. Nowy laureat należy do rocznika 1909, ma jednak poza sobą bogatą przeszłość pisarską i ideologiczną. Przeszedł on dużą drogę w zakresie budowania swego światopoglądu, nagrodzono go więc nie tylko jako poetę ale i jako myśliciela.

Dzieciństwo swe spędził Łobodowski w Rosji i przeżycia te wywarły głęboki wpływ na tematykę jego utworów. Ma on dziś szerokie zacięcie epickie i pociąg do zagadnień społecznych. O systemie pracy mówił w jednym z wywiadów, co następuje: „Pisuję dużo, ale bardzo nieregularnie. Czasem przez dłuższy czas ani słowa, kiedy indziej po kilkanaście godzin dziennie. Poza doryweczą pracą dziennikarską i publicystyczną nie zajmuję się żadną pracą zawodową."

Zapytany o plany na najbliższą przyszłość, odpowiedział: „Ostatnio ukończyłem dramat, który jest jak gdyby bilansem moich przemian ideologicznych i doświadczeń społecznych." Na pochwałę tegorocznej decyzji Polskiej Akademii Literatury powiedzieć można, że Łobodowski jest bardziej obiecującym laureatem, aniżeli jej zeszłoroczny pupilek Świątopełk Karpiński.

Zmierzch Rzymowskiego. Przewleczona do końca stycznia sprawa wyroku sądu koleżeńskiego na Wincentego Rzymowskiego z Polskiej Akademii Literatury ostatecznym swym wynikiem zaskoczyła świat literacki Warszawy. Pomimo dwulicowości w stylizacji wyroku, gdzie się chciało jednocześnie pogrążyć Rzymowskiego i zarazem oczyścić go od zarzutów, pomimo takich koleżeńskich usiłowań Rzymowski został pogrążony w opinii publicznej, tak że trudno się temu dziwić, że nosił się zupełnie szczerze z myślą wystąpienia z Akademii, od czego musieli go powstrzymać jego akademiccy koledzy. Taki krok powinien być konsekwentnym następstwem dwulicowego wyroku i dlatego można tylko mieć pretensję do naszych akademików, że dopuszczając do ogłoszenia takiego wyroku, nie dopuścili do ostatecznych jego konsekwencj, tzn. do wystąpienia Rzymowskiego z Akademii. „Trudno dopatrzyć się w zacytowanych w prasie zestawieniach momentu rozmyślnego plagiatu" — brzmi orzeczenie sądu koleżeńskiego w pierwszej części. Druga za to część po tej słodkiej pigułce jest atakiem na Rzymowskiego, jeśli traktować się ją będzie serio. „Że jednak — czytamy tam — wybitne stanowisko, jakie W. Rzymowski zajmuje w polskim piśmiennictwie, w szczególności zaś wysoce odpowiedzialna godność członka P. A. L. nakłada na niego obowiązek czuwania nad dobrymi obyczajami pisarskimi — P. A. L. wyraża przekonanie, że zastosowane w tym wypadku metody pracy przez akademika literatury przyczyniają się do obniżenia powagi pisanego słowa." Powiedziane tam jest dużo i nic; zależy od tego, jakim się spojrzy na orzeczenie okiem. Jedną wszakże można powiedzieć rzecz bezsprzeczną: orzeczenie jest koszlawo zredagowane po polsku — zupełnie jak tasiemcowy wyrok z małomiasteczkowego sądu, a zatem i ono samo przyczynia się... do obniżenia powagi pisanego słowa p o l s k i e g o.

Chociaż wyrok na Rzymowskiego dotyczył spraw wyłącznie literackich, miał jednk swój refleks... polityczny. 1 lutego w „Kurierze Porannym" ukazała się „Od Wydawnictwa" notatka tej treści: „Z dniem dzisiejszym obejmuje redakcję „Kuriera Porannego" Ferdynand Goetel." Tego już nie dodano, ale równocześnie z redakcji tego dziennika ustąpił Rzymowski. Niektóre pisma narodowe opatrzyły tę wiadomość nagłówkiem: „Zmierzch Rzymowskiego". Czy to istotnie zmierzch, trudno dziś powiedzieć, zanotować tylko warto pogłoskę o tym, jakoby Rzymowski miał wydawać nowy dziennik, ale już nie pod auspicjami wysokich czynników rządowych. W takim razie o zmierzchu mówić byłoby przedwcześnie. Jeśliby doszło do powstania specjalnego pisma Rzymowskiego, osoby, mające ku temu ochotę, będą miały temat do interesujących rozważań: kto daje Rzymowskiemu pieniądze? Bo nie będzie robić tego za swoje pieniądze, to pewne!

Po parę słów. Nowa książka Wacława Berenta z Polskiej Akademii Literatury — to „Diogenes w kontuszu".

Pod redakcją Heleny Janiny Ossowskiej zaczął się ukazywać nowy miesięcznik literacko-satyryczny pod strasznie skomplikowanym tytułem: „Zwierciadło, w którym każdy snadnie przejrzeć się może".

Wanda Grochowska ogłosiła nowe opowiadanie dla dzieci, zatytułowane: „Dziadówna".

Zofia Nałkowska z Polskiej Akademii Literatury zaczyna druk nowej powieści.

„Polskie Radio" nadało w lutym nowe słuchowisko „W lesie", którego autorem jest Jerzy Szaniawski z Polskiej Akademii Literatury.

Józef Birkenmajer pracuje obecnie nad książką turystyczną pt. „W promieniach Jasnej Góry", przeznaczoną do cyklu „Piękno Polski", który wydaje „Wydawnictwo Polskie" w Poznaniu.

O Weyssenhoffie po angielsku. Karolina Ratajczak z Nowego Jorku przygotowuje dla Columbia University studium krytyczne, poświęcone Józefowi Weyssenhoffowi. W związku z tym zbiera oryginalne dokumenty, listy i rękopisy, dotyczące autora „Sobola i panny", jak również wszelkie informacje o jego życiu i dziełach. Rzeczy te należy przesyłać pod adresem miss Ratajczak: 9412 — 52nd Avenue, Elmhurst, New York.

Nowe książki Kossak-Szczuckiej. Można powiedzieć, że Zofia Kossak-Szczucka znajduje się obecnie w doskonałej formie produkcyjnej. Ostatnia jej wielka powieść, „Krzyżowcy", to cztery zasobne tomy; równocześnie musiała znakomita pisarka doglądać druku nowych wydań swych poprzednich książek, a więc „Legnickich pól", „Nieznanego kraju", „Pożogi"; na tym jednak nie koniec. Ostatnie miesiące przyniosły aż trzy nowe książki Kossak-Szczuckiej: w Państwowym Wydawnictwie Książek Szkolnych wyszedł „Puszkarz Orbano", u Św. Wojciecha ukazały się tom nowel „Bursztyny" i powieść „Król trędowaty", drukowana przed tym w „Czasie". Pracowite były ostatnie lata znakomitej pisarki, jeśli naraz tyle rzeczy była w stanie ogłosić. I to rzeczy prawdziwie wartościowych. Jej „Krzyżowcy" byli nawet zgłoszeni do nagrody „Wiadomości Literackich" „za najlepszą książkę w r. 1936", nie otrzymały jej jednak ze zrozumiałych względów. Ostatecznie nagroda ta w roku bieżącym przypadła drugiej serii „Pamiętników chłopów", których autorami jest aż dziesięciu wieśniaków. Wobec tego nagroda podzielona będzie na dziesięć części. „Rozstrzygnięcie to — donosił któryś z dzienników — wywołało dużą sensację w świecie kulturalnym, gdyż po raz pierwszy nagrodę literacką przyznano wydawnictwu zbiorowemu i przy tym autorom-chłopom".

Nieznane rękopisy Mickiewicza. W rodzinie jednego z towiańczyków, mieszkającej stale w okolicach Grójca, mają być przechowywane do tej pory nieznane rękopisy Adama Mickiewicza. Wedle zebranych informacji, brzmiących wręcz sensacyjnie, mają to być modlitwy, pisane wierszem między r. 1840 a 1850. Nie były one drukowane z tego powodu, że Mickiewicz udzielił ich tylko zaufanym przyjacielom — pod warunkiem, że nie będą podawać żadnych odpisów do wiadomości publicznej. O nabycie tych rękopisów podobno prowadzone są obecnie rokowania z jedną z bibliotek. Spodziewać się należy, że w najbliższym

czasie sprawa tych rzekomo nieznanych rękopisów Mickiewicza zostanie wyjaśniona jak najdokładniej.

Konkursy literackie. Redakcja „Przewodnika Katolickiego” i Księgarnia Św. Wojciecha rozpisała konkurs na powieść, przy czym dla najlepszej powieści dla każdej z dwu grup przeznaczona została nagroda w sumie 4000 zł.

Redakcja „Pionu” w konkursie na nowelę wyznaczyła, jako pierwszą nagrodę, kwotę 1000 zł.

„Wieczór Warszawski” zorganizował konkurs na opowiadanie o pierwszej miłości z nagrodą 300 zł.

Złośliwi twierdzą, że literaci nigdy nie mieli tylu okazji zarobkowania, co w dzisiejszych kryzysowych czasach.

Jubileusz Tetmajera. W tym roku minęło właśnie pięćdziesiąt lat od rozpoczęcia pracy literackiej przez Kazimierza Przerwę-Tetmajera (nawiasem mówiąc, ciotecznego brata słynnego Boya-Żeleńskiego). Ku czci sędziwego poety, który od lat nic już nie tworzy z powodu ciężkiej choroby, nie zostały urządzone żadne obchody jubileuszowe, pojawiły się tylko okolicznościowe artykuły z fotografiami. Najwspanialszym pomnikiem nieśmiertelnej chwały Tetmajera będzie zawsze „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego. Poeta bowiem stamtąd — to właśnie Tetmajer.

Konopnicka dla wszystkich. Staraniem ogólnopolskiego komitetu, zawiązanego w dwudziestą piątą rocznicę śmierci Marii Konopnickiej, ukazać się ma nowe zbiorowe wydanie jej pism, którego opracowaniem zajmie się specjalna komisja wydawnicza. W wydaniu tym znajdą się prawdopodobnie nieopublikowane dotąd rękopisy autorki „Pana Balcera w Brazylii”, które niedawno w formie daru pozyskała do swoich zbiorów Biblioteka Narodowa w Warszawie.

Polska literatura i polski kolonializm. Zbigniew Jasiński w „Szkwale” poświęca dłuższy artykuł, aktualny w związku z genewskim wystąpieniem ministra Becka, „sprawie kolonialnej w beletrystyce polskiej dawniej a dziś”. „Jeśli jednak chodzi o polskie sprawy morskie i kolonialne — brzmi teza autora — to tu literatura nasza grubo spóźniła się, ba! musi doganiać rzeczywistość. Powodu tego odwrotnego stanu rzeczy należy poszukiwać zarówno w dotychczasowym, ogólnym charakterze naszego narodu, niechętnego do wyjścia z kurnego zaścianka domowego w szerszy, bogatszy świat, — jak też i w pewnym niedopatrzeniu sfer literackich, które oglądając się na modne nowinki i prądy, przeciekające do nas stąd i zowąd, nie zauważają tego, co na skutek inicjatywy niewielkiej grupy światłych ekonomistów i polityków dziać się poczyna tuż pod nosem, we własnym kraju.” „Tylko ci dwaj pisarze: — pisze Jasiński — Sieroszewski (w „Beniowskim” i „Oceanie”) i Rychliński (w „Przygodach Krzysztofa Arciszewskiego”) dali nam dzieła, naprawdę związane z koloniami i, rzecz ciekawa: obaj zapatrzyli się w przeszłość.” Za objaw przebudzenia się dla spraw kolonialnych wśród pisarzy najmłodszych uważa autor „Wyprawę o zmierzchu” Juliusza Żuławskiego, który jest synem głośnego poety, dramaturga i powieściopisarza z czasów Młodej Polski — Jerzego Żuławskiego, autora „Erosa i Psyche”, „Na srebrnym globie” itp.

Wołanie o polską literaturę. Na szpaltach „Gońca Warszawskiego” K. Żegota rozważa zagadnienie „Czy jesteśmy narodem niedołęgów, wygodnisiów i karierowiczów biurokratycznych?”. „Tych zalet ofensywnych — czytamy w artykule Żegoty — nie przejawia młoda inteligencja polska. Wprawdzie studenci Polacy organizują walkę o polskość szkół wyższych i o spolszczenie zawodów wolnych, ale młoda inteligencja polska pozwoliła się pobić mniejszościom narodowym na wielu polach. Szczególnie kompletnie w zawodach adwokackim i lekarskim, a w dużym stopniu na polu piśmiennictwa i literatury. Toteż doszliśmy do tego, że w imieniu chłopów polskich stają niejednokrotnie w sądach adwokaci Żydzi i Ukraińcy, a książki i pisma polskie często sporządzane są przez pisarzy obcych, a nawet wrogich.” „Jednakże czas najwyższy ochłonąć i zabrać się do pracy. Inteligencja polska musi stać się z powrotem przewodniczką mas i kierowniczką gospodarczych, społecznych i kulturalnych poczynań narodu. Nie możemy pozwolić, aby nurt życia przepłynął obok nas lub ponad naszymi głowami. Tym nurtem musi kierować rozum i wola Polaków!”

Do tych rzeczowych uwag Żegoty dodać można tylko tyle, że stan ten powoli zaczyna się zmieniać na lepsze dzięki powstaniu specjalnych pism literackich o zabarwieniu narodowym. „Wici Wielkopolskie”, „Kultura”, „Podbipięta”, Prosto z mostu” mają w tym zakresie zasługi niewątpliwe. Zwłaszcza redaktor tego ostatniego tygodnika, Stanisław Piasecki, miał szczęśliwą rękę, że wprowadził do literatury polskiej tak utalentowanych młodych pisarzy, jak Jerzy Pietrkiewicz, Jerzy Andrzejewski i Miłosz Gembarzewski. Dwaj wymienieni poeci przyczynią się niewątpliwie do wydatnego odrodzenia poezji polskiej.

JÓZEF ST. CZARNECKI, Krzyż przeciw sercu. Powieść. Str. 180.

Proces beatyfikacyjny królowej Jadwigi wywołał żywe zainteresowanie literatów tą wielką postacią naszych dziejów. Jego przejawem jest powieść J. St. Czarneckiego, autora szeregu powieści, żeby tylko wymienić „Gołębica i jastrzębie”, „Zdobywca Afryki”. Nowa jego powieść wprowadza nas w atmosferę historyczną czasów jagiellońskich w sposób wysoce artystyczny. Podkreślenie dramatycznych momentów życia wielkiej monarchini i świętej niewiasty trzyma uwagę widza na uwięzi. — Po ukazaniu się pierwszego wydania zaszczycili autora swymi listami JEm. Ks. Kardynał Hlond, który podkreślił „piękno i aktualność” książki, oraz JE. Ks. Arcybiskup Teodorowicz, który pisze: „Czci się tylko to, co się zna i kocha, więc czy historia ścisła, czy też historyczna powieść, spełnia przez to swą misję, gdy poddaje społeczeństwu skrzące iskry światła i miłości, które zapalają i szerzą kult bohaterki. Pod tym względem oceniam pańskie dzieło”. — Nie licząc tych zaszczytnych opinii, powieść znalazła przychylne wielce przyjęcie w krytyce. — Pragnący ją nabyć proszeni są o skierowanie korespondencji pod adresem: J. Czarnecki, Warszawa, Miodowa 16, m. 3. P. K. O. nr 14646. Cena tomu u autora 1 zł 20 gr wraz z przesyłką. — Poza tym tegoż autora „Zmysły na licytacji” — polemiczna broszura, str. 104, na temat reformy małżeństwa. Cena u autora 50 groszy.

EDWARD CYGAN

ROMA AETERNA

Mrok mętnej czerni snem uwieńczył czoła,
ciszę pustynną wskroś wioną ulice.
Kamienny kontur wieżycy Anioła
tkwi w niebnej głębi tajemnej przyłbicy.
Śpi w cieniu krzyży i tym krzyżom wierna
Roma aeterna.

Milczą kwadraty długich trotuarów
od bram cmentarza po mur bazyliki,
czasemkrok stuknie papieskich szwajcarów,
albo na wieży jęką sowie krzyki.
Płaszcz ciszy wdziała, obszarem niezmierna
Roma aeterna.

— — — — — — — — — — — —

Wtem.... nad winnice i rabatów trawę,
nad mury domów i mnogość kwadratów
rozbrzmiał głos dzwonów powitalne Ave
i ranne pienia setek purpuratów.
Pieje szalenie w czasie nocy bierna
Roma aeterna!

WIESŁAW PYREK

PIOSENKO MOJA...

Piosenko moja, zmartwychwstań radośnie,
Boś nie umarła, jak młodość, na wieki.
Czemu twe słowo karłowato rośnie?
Czemu twój płomień zimny i daleki?

Kwitnij konwalią o majowej wiośnie,
Wyśpiewaj słońca gorące wypieki,
Zahucz mi burzą, tak cichą jak łkanie,
I rozkaż sercu: niech, bijąc, nie stanie!

Piosenko moja, przekorna wstydliwie,
Nie zazdrość krasy kryształowej tęczy:
Ona w przelotnym tylko blasku żywie,
Choć promień słońca do jej barw się wdzięczy.

Z dumnych obłoków ku chłopskiej zejdź niwie
I cierń ucałuj, co bólem cię wieńczy,
A potem wiekom pokłoń się serdecznie... —
Czy ty mnie, piosnko, czy ja cię uwiecznię?

Dział Kobiecy

DLA DUSZY

Czyń pilnie to, coś czynić winien: wiernie pracuj w winnicy mojej, ja będę zapłatą twoją.

Pisz, czytaj, śpiewaj, jęcz, milcz, módl się, znoś mężnie przeciwności; żywot wieczny godny jest tych wszystkich i większych jeszcze bojów i znojów.

Przyjdzie pokój w godzinie, która wiadoma jest Panu: i w tym czasie nie będzie już dnia i nocy, ale będzie światłość wiekuista, jasność nieskończona, pokój trwały i odpoczynek bezpieczny.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

KORNA SŁUŻEBNICA BOGA I OJCZYZNY

Lat temu trzydzieści kilka odwiedziła mnie po raz pierwszy, świętej zaiste pamięci, zmarła w ubiegłym miesiącu Helena Gałecka.

Drobna, szczupła, w bystrym i żywym spojrzeniu pięknych, czarnych oczu, o wyrazie niewyczerpanej łagodności, dobroci i pogody na całej twarzy, budziła od razu najmilsze wrażenie i wielką ufność.

Rozmowa zaczęła się od doli kobiet pracujących. Obie od razu wiedziałyśmy, że to temat nie do wyczerpania, a godzien najwyższej troski.

P. Gałecka, otaczając myślą wszystkie pracujące rękodzielniczki, z natury rzeczy, jako mistrzyni cechu krawieckiego — specjalnie pragnęła się zająć dolą tych kobiet, które małą igiełką i milionem ściegów zdobywają egzystencję własną często licznej rodziny.

Więc dostarczać pracy. Obmyślić źródła stałych dochodów. A przy tym, nie zaniedbując nauki zawodowej, oświecać, uczyć. Mówić o obowiązkach, jakie nakłada na nas człowieczeństwo. O tym, czego wymaga społeczność. Czego najpilniej potrzeba krajowi. Wzmacniać pojęcie miłości bliźniego. Serce miłosierdziem przepajać. Godziwą rozrywkę podawać. Zbliżać się, łączyć, gromadzić. Pamiętać, ciągle pamiętać, że Wielka Siła — niepojęta, niezbadana a istniejąca, dająca wszystko, nic w zamian nie żądająca — Wielki Twórca wszech rzeczy — Bóg, jest w każdej duszy na dnie, że strzec tego skarbu jak życia — należy i strzec zawsze nieskalanej czystości Jego siedziby.

Zło i lenistwo w sobie poskramiać, wolę hartować, pracę miłować — oto o czym mówiła w tych pamiętnych dla mnie chwilach ta, która od nas odeszła, śp. Helena Gałecka.

A dalej opowiadała mi, że teren do pracy gotowy. Że już jest Związek, który założyła, a któremu dała imię: „Dźwignia". — Przewodniczącą zaś tej instytucji pragnie widzieć mnie.

W pierwszej chwili aż mnie to przeraziło. Czym warta? Czy potrafię? Czy nie zawiodę? Oto pytania, które stały dość opornie w poczuciu pojęć moich o sobie i w ocenie ważności placówki, na której czele miałabym zaszczyt stanąć. Ale pani Gałecka w nieskończonej swej słodyczy i dobroci, z właściwą jednak Jej energią w doprowadzaniu do celu swych zamierzeń, nie ustępowała. Przewodnictwo objęłam.

Odtąd szłyśmy razem. P. Gałecka wielki na mnie wywierała wpływ. Ona i całe towarzyszące Jej w pracy otoczenie kobiet, umiejących zaprzeć się wszystkiego w staraniu około ulżenia doli drugich, dały mi równowagę duchową, zdecydowane postulaty chrześcijańskie i zwróciły uwagę na pojęcie wielkich zagadnień cnót ewangelicznych.

W tym otoczeniu, o jakim mówię, nigdy nikt nie mówił *ja*. O sobie nie pamiętał. Nigdy nie było ostrego sądu, nigdy wzgardy dla błędu. Było współczucie, było dążenie do usuwania belek spod stóp zbolałych drogą ciężkiego życia, było szczepienie pogody, uciszanie i uśmierzanie cierpień ludzkich, i jakaś wielka cisza wewnętrzna, jakże pewno nieraz z trudem na duszy zdobyta.

Temu wszystkiemu przewodniczyła cicha, wątła, radosna śp. Helena Gałecka, nie ograniczając swej pracy na Warszawę. Tworzyła zrzeszenia na prowincji, dosięgła nawet siedziby cara. W Petersburgu osadziła swe towarzyszki w pracy, aby zgromadzały polskie kobiety i otaczając je opieką broniły od wynarodowienia.

W Warszawie z początku nauczanie było zawsze tajne, okryte pozorem nauki kroju.

Dopiero z hukiem zerwanego mostu na Wiśle, który nam obwieścił odejście wroga — witałyśmy Wolność! —

„Dźwignia" się rozwijała. Pracownice się gromadziły. Rezerwistki miały z miejsca pracę, bo szyły bieliznę dla wojska już polskiego.

„Dźwignia" zakładała pierwsze polskie stragany. Organizowała kursy. Otworzyła bibliotekę. Na wałach fortów opuszczonych zdobyłyśmy wypoczynkowe letnisko. Wilię w świetlicy „Dzwigni" — spożywało z nami co rok 100 żołnierzy. Przez lata wojny — przeszło przez naszą siedzibę 12.000 żołnierzy, o czym zdawałyśmy raport komendantowi Piłsudskiemu, który wilię zorganizowaną na 200 żołnierzy w koszarach na Koszykowej odwiedził, dzieląc się z żołnierzami i nami opłatkiem.

Pani Gałeckiej serce rosło. Była tego wszystkiego dobrym duchem i natchnieniem.

Toteż, choć ulegając zmienności losów ludzkich — przestałam być faktyczną przewodniczącą „Dźwigni" dostając tytuł tylko „honorowej" — z panią Gałecką łączyła mnie przyjaźń do dni ostatka.

Na kilka tygodni przed odejściem ze świata, była u mnie i robiła wrażenie osoby tak uduchowionej, że idąc nie dotyka ziemi. A za Jej trumną, żegnając Ją łzami serdecznego żalu, myślałam: Oto Istota, która w pełni rozumiała posłannictwo Boże — człowieka na ziemi.

L. Kotarbińska.

O KONIECZNOŚCI REFORMY ŻYWIENIA ZBIOROWEGO

Z dniem każdym przybywa nam w Polsce pań domu świadomych swych obowiązków, odpowiedzialnie pełniących ciążące na nich obowiązki dnia codziennego i rozumiejących swą misję w wielkim zadaniu wzmożenia sił fizycznych i duchowych społeczeństwa.

Istnieje jednak jeszcze jedna rozległa a ważna dziedzina gospodarcza naszego życia, prawie całkowicie leżąca odłogiem. Mam tu na myśli sprawę żywienia zbiorowego. Obejmuje ono przeważnie ludzi stale lub tylko chwilowo pozbawionych ogniska rodzinnego, albo takich, którym społeczeństwo pragnie przyjść z pomocą. Pensjonaty, wszelkiego rodzaju bursy i ogniska, domy zdrowia i sanatoria, kolonie letnie i zimowe, to wszystkim znane instytucje, w których żywienie zbiorowe jest konieczną i nieodłączną częścią ich istnienia. A liczba tych instytucji ciągle wzrasta, wraz ze wzrostem samopomocy społecznej i rozwojem życia organizacyjnego. Tu dożywia się dzieci szkolne lub rodziny bezrobotne, tam jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe, daleko położone od miasta, organizuje u siebie obiady dla swych pracowników, ówdzie wielki szpital musi się zatroszczyć nie tylko o wyżywienie chorych, ale i swojej służby, jeszcze gdzie indziej tworzy się ognisko, mające zastąpić dom rodzinny samotnym pracownikom.

Im więcej ludzi co roku zasiada w Polsce do długich stołów, zastawionych ujednostajnionymi i z góry obliczonymi porcjami, im więcej ich ciśnie się z menażkami do wspólnego kotła, tym większego znaczenia nabiera całe to zagadnienie.



Wiadomo, pożywienie zbiorowe, to nigdy nie jest to, co obiad w domu. Wiadomo też, że pożywienie ludzi samotnych wykazuje liczne niedobory pod wieloma względami. W domu troskliwa gospodyni zawsze podsunie to bułeczkę, posmarowaną świeżym masłem, to pomarańczę, to doleje trochę mleka do herbaty. Tymczasem pożywienie w środowiskach żywienia zbiorowego staje się często nieprawdopodobnie jednostajne. Dużo grzeszą tu grymasy, które sprawiają, że wyciąga się dłoń tylko po potrawy lubiane, z zupełnym pominięciem mniej pociągających a jednak koniecznych. W domu przecież trzeba się do niejednego zastosować i uwzględniać także i cudze gusty. W końcu całe pożywienie kurczy się przedziwnie do trzech czy czterech potraw.

— Od dzisiaj co dzień na obiad ma być befsztyk po angielsku, a na deser poziomki — dysponuje słomiany wdowiec służącej, której jednak żona przed wyjazdem pozostawiła pracowicie obmyślone jadłospisy.

— Dobrze, proszę pana, a co na kolację? — pyta posłuszna służąca.

— Na kolację? Na kolację może Janka podawać znów to samo — befsztyk po angielsku i poziomki.

Befsztyk po angielsku, sztuka mięsa z sosem i do tego piwo, to było jedyne pożywienie w ciągu dziesięciu lat pewnego kawalera, wybitnego bardzo na swym stanowisku — tylko nie w dziedzinie znajomości zasad żywienia.

Instytucje podejmujące się żywienia zbiorowego ulegają niejednokrotnie takim dziwacznym grymasom — dla świętego spokoju, ale z niezaprzeczalną szkodą dla zdrowia stołowników. A później? A później Karlsbad i Marienbad, Truskawiec i Iwonicz i różne sztuczne i kosztowne systemy, aby ratować zrujnowane zdrowie, o ile ktoś na ten ratunek ma odpowiednie środki.

Czy nie lepiej mieć trochę rozsądku i wziąć w karby swe „mięsożerstwo"?

A to odgrzewanie potraw w gospodarstwach zbiorowych, „to trzymanie ich w cieple tak długo, że zatracają i większą część wartości odżywczej i cały aromat, stają się suche, zapieczone, przesiąknięte nadmiernie tłuszczem".

Jest przecież rzeczą zrozumiałą, że nie można wydać z kuchni gospodarstwa zbiorowego jednocześnie dużej liczby porcji, i potrawy, najczęściej odstawiane na brzeg płyty kuchennej, aby nie ostygły, lub też wstawione do specjalnie na ten cel przeznaczonego piecyka, czekają swojej kolei, wysuszając się, zapiekając, przy czym powstają różne ciężko strawne kombinacje tłuszczów z białkami, witaminy zaś rozkładają się.

Gospodarstwo zbiorowe jest też bardziej niż gospodarstwo rodzinne narażone na zostawanie resztek potraw z jednego posiłku, które przerabia się na następny. Łatwiej jest dokładnie obliczyć potrzebną ilość potrawy dla pięciu osób, których apetyty i upodobania zna się przecież dobrze, niż dla pięćdziesięciu osób. Stąd więc w internatach i pensjonatach codziennym zjawiskiem na kolację odgrzane sznycle z obiadu, lub przysmażona resztka ziemniaków, wysuszona przez odgrzewanie kasza pojawia się jako dodatek do mięsa, a przecież pierwszym warunkiem odżywczej pokarmów jest ich świeże przyrządzanie.

Zresztą podawanie odgrzewanych resztek sprawia, że zbyt często, czasem nawet parę razy dziennie pojawia

się na naszym stole potrawa z tych samych produktów.

O wynikach z poważnych rozważań, błędach żywienia zbiorowego i zmniejszeniu do minimum braków z nim złączonych mówić będziemy w następnym numerze „Rodziny Polskiej". —

Maria Strasburger
przewodnicząca Komisji Programowo Wydawniczej przy Instytucie Gospodarstwa Domowego.

OBOZY WYPOCZYNKOWE DLA PRACOWNIKÓW MIEJSKICH

Sprawę nieoszacowanych dla ludzi pracy wypoczynków na świeżym powietrzu otoczył nasz czynny Zarząd m. st. Warszawy swą ojcowską opieką, tworząc specjalną komisję pod przewodnictwem dyrektora biura personalnego p. H. Pawłowicza.

Czy to będzie w Zakopanem, czy na Bukowinie, nad morzem, nad Naroczy cudną wodą, wszędzie będzie i dobrze zorganizowany pobyt, bo organizację ujęły energiczne ręce i dobra wola.

Ale, jednocześnie przychodzą na myśl, te zastępy, potrzebujących koniecznie takich chwil swobody, po trudach dni wytężonej pracy, a bezradnych wobec wszędzie zbyt kosztownego dla przeciętnego pracownika — pobytu.

A przecież nam niekoniecznie potrzeba dla wypoczynku cudów natury. Oczywiście radzibyśmy, żeby je oglądać, żeby nimi sycił oko kto żyje, żeby nabierał w tych cudnych kręgach natury nie tylko wypocznienia, ale i radości życia. Skoro jednak na razie to niemożliwe, to czyżby nie znalazł się ktoś energiczny a praktyczny, kto by takimi obozami się zajął gdzieś niedaleko od stolicy, a jednak i z lasem i z rzeką i ułatwił upragniony wypoczynek za niewielkie peniądze.

Sekcja magistratu, w swoim czasie, ogłosiła ankietę, chcąc choć w przybliżeniu dowiedzieć się, jakimi funduszami rozporządzać mogą ludzie, pragnący bodaj parotygodniowego wypoczynku.

20.000 odpowiedzi przyszło ujawniając, że pracownicy umysłowi i fizyczni nie mogą sobie pozwolić na pobyt w pensjonatach czy dworach wiejskich.

Ale, gdyby koszt nie przekraczał 100 lub 150 zł miesięcznie lub 60 zł na dwa tygodnie, to już byłby wypoczynek w tych warunkach możliwy niemal dla wszystkich.

Jesteśmy pewni, że gdyby sprężyste ręce wzięły się do organizacji obozów letnich po naszych wsiach, umożliwiłoby to wielu ludziom nabycie sił, odświeżenie umysłu i skrzepienie duchowe, jakie daje każdemu zbliżenie się do natury, w której na każdym kroku widzi się i odczuwa błogosławieństwo Bożego dzieła.

Ale to należy już zacząć robotę, bo wiosna idzie, a przygotowanie dobre zbiorowej akcji — wymaga czasu. — *L. K.*

N. O. K. WYDZIAŁ WALKI Z KOMUNIZMEM W WARSZAWIE

Narodowa Organizacja Kobiet w Warszawie zwraca się do wszystkich kobiet polskich, z gorącym wezwaniem o pomoc w pracy, przeciwstawiającej się komunizmowi.

Wydział walki z komunizmem wymienia liczne zrzeszenia żon górników w Zagłębiu Dąbrowskim.

Żywiołowo garnące się do akcji liczne oddziały wiejskie na Śląsku Cieszyńskim i na Podhalu.

Ale, niestety, te godne podziwu przykłady są znikome i wobec potrzeb, a zwłaszcza wobec kobiet polskich, których bierność w obecnej chwili jest nieprzebaczalna. Mamy stowarzyszenia, zarządy, wydziały i sekcje, nie mamy w żadnym stowarzyszeniu tysięcy członkiń, a przecież mamy w narodzie połowę, to znaczy przynajmniej piętnaście milionów kobiet.

Co one myślą?

„Jeśli nie chcemy ponieść odpowiedzialności za pogrążenie Polski w losach podobnych Hiszpanii", woła Wydział Walki z Komunizmem, „to wiedzcie, że potrzebujemy rąk do pracy, potrzebujemy pomocy dla:

1) przygotowania miasta na wypadek rozruchów komunistycznych,
2) na wypadek wyborów do rady miejskiej,
3) urządzenia kursów (spółdzielczych, rękodzielniczych, handlowych itp.),
4) tworzenie warsztatów pracy dla kobiet,
5) tworzenie kramów stałych i domokrążnych,
6) kas bezprocentowych,
7) świetlic dla dzieci, kobiet i młodzieży,
8) wydawnictw i utrzymania odpowiedniego personelu.

Jeżeli z tej lub innej przyczyny ktoś nie może dać pracy czynnej, niechże się przyczyni jednym złotym składki miesięcznej, do rozwinięcia prac powyższych.

Informacji udziela biuro N. O. K. — Wiejska 3, w godzinach 12 —14".

WNĘTRZE SZAFY Z BIELIZNĄ

Utrzymanie systematycznego porządku wśród bielizny ułożonej w szafie, wymaga ciągłej pracy i czujności gospodyni. Odbywa się tam bowiem ciągła ewolucja, zawartość szafy jest wiecznie płynna. Po każdorazowym praniu musimy robić doskonały przegląd, które sztuki są gotowe do użycia, co trzeba naprawić, lub wymienić na nowe, a nie zmarnować starych części bielizny. Zwłaszcza obecnie, gdy Pomoc Zimowa jest nienasycona.





Przypuśćmy jednak, żeśmy już zrobiły taki przegląd, a teraz zwróćmy uwagę na estetyczną stronę wnętrza szafy. Najlepiej przedstawia się taki zbiór płótna, batystów itp., jeżeli wszystkie sortymenty są stale na tym samym miejscu odpowiednio ułożone i dokładnie powiązane.

Do wiązania stosów bielizny używałyśmy dotąd wstążek lub taśm kolorowych.

Obecnie wchodzi w modę inny rodzaj wiązania.

Otóż przygotowujemy paski płótna szerokie na 2 — 3 cm a mniej więcej na 30 cm wykończamy brzegi pojedynczą mereżką, a przez środek haftujemy wąski, barwny wzoreczek. Długość paska zależy od wysokości stosu bielizny.

Podaję Paniom takie dwa wzorki do wyboru. Wzór z Pomorza, wyszyty ściegiem płaskim w kolorach oliwkowym, czerwonym i niebieskim (sinym), jak morze, zaś duże płaszczyzny w tulipanach zasnute siecą żółtą lub złotą.

Drugi wzór z okolicy Sambora w Małopolsce, to drobne kwiateczki w dowolnych barwach, które mogą być wyszyte w pozycji stojącej nad brzegiem dzierganym lub rozmieszczone po obu stronach falisto wijącego się łańcucha. Mając już wyhaftowany, wyprany i ślicznie wyprasowany paseczek, przyszywamy na jednym jego końcu kawałek gumy białej na 1 — 2 cm szerokiej. Na końcu gumy umieszczamy guzik porcelanowy, a przy haftowanym pasku robimy pętelkę lub podłużną dziurkę.

Ułożony stos bielizny otaczamy tym paskiem z gumą w ten sposób, by haft widoczny był na froncie i od góry, zapięcie zaś umieszczamy od wnętrza.

Opaska taka z gumą jest bardzo praktyczna, gdyż rozciąga się w miarę potrzeby.

Bardzo miłe wrażenie sprawia także haftowane wnętrze szafy, musimy jednak dostosować haftowane opaski do wielkości stosów bielizny i układać je zawsze na tym samym miejscu w szafie.

Maria Stefkowa

SZLAFROK I SUKNIE DLA MŁODYCH PANIENEK

Szlafrok uszyty z ciemnego satin lux z jasnymi, pikowanymi wyłogami z cienkiego jedwabiu, z boku zapięty na duży guzik. Na tymże rysunku podany model ładnej narzutki do łóżka z jasnego satin lux, obszytej piórkami, które się kupuje na metry. Satin lux nosi się dobrze i jest stosunkowo niedrogi.

Kamizelki o męskim kroju są bardzo modne, podajemy taki model. Jak widać na rysunku, rękawy w górze zafałdowane i odstające.

Suknia dla młodej panny wykonana z deseniowego materiału, pasek i przybranie koło szyi aksamitne — całości dopełniają dwa jednakowe guziki, mały, zapinający klapę koło szyi, i duży, przy pasku.

Suknia dla dziewczynki z gładkiej wełny, pasek i wyłogi przy kieszeniach z jedwabiu albo aksamitu. Kołnierzyk biały, zapięty na guzik z perłowej macicy.

E. Kotwicz-Onichimowska





ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani Natalii B... w Wierzbnie. Wiemy tylko tyle, że liczny „Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet", rozdzielił się na dwie części. Jedne panie pracują pod przewodnictwem p. Z. Moraczewskiej, drugie pod przewodnictwem p. b. posłanki Jaworskiej.

Szczegółów nie znamy tego rozłamu. Ostatnie zebranie kobiet, pracujących z p. Jaworską, wykazało wielką ruchliwość działania i bardzo duże rezultaty pracy.

Pannie Marii P. w Mrozach. Był w Warszawie walny zjazd komitetu społecznego przysposobienia kobiet do obrony kraju, zrzeszający 12 stowarzyszeń kobiecych. Komitet organizuje kursy informacyjno-propagandowe i objaśnia o głównych zadaniach kobiet podczas wojny. A więc: zaopatrzenie żołnierza we wszystko potrzebne mu do życia i walki, podtrzymanie w nim zapału i wiary w zwycięstwo, oraz danie mu pewności, że rodzina jego wewnątrz kraju umie się bronić przed niebezpieczeństwem, grożącym ludności cywilnej: przed atakiem gazowym, wojną bakteriologiczną, sabotażem gospodarczym i akcją szpiegowską.

P. Zofii K. w Konstancinie. Tak jest, proszę Pani, ostatnią wycieczkę Światowego Związku Polaków z Zagranicy i Tow. Pomocy Polonii zagranicznej, prowadził ks. Kolbuch, prowincjał księży saletynów w Ameryce. Po zwiedzeniu miasta wycieczka udała się do Częstochowy, stamtąd do Krakowa, skąd klerycy by-

li podzieleni na grupy i przydzieleni do różnych klasztorów na przeszkolenie. Idzie bowiem o to, aby przyszli duszpasterze z Polski w Ameryce krzewili miłość dla rodzinnego kraju i poczucie obowiązującej polskości. —

„Starej romantyczce", tak się Sz. Pani w liście swoim podpisała i upoważniła nas do odpowiedzi pod takim mianem. Właśnie wyszły w ostatnich miesiącach poezje twórców starszej generacji. Mamy przed sobą tom pięknie wydany przez Gebethnera i Wolffa pt. „Wybór wierszy z lat wielu" wykwintnego poety-myśliciela, Ignacego Bralińskiego (Aksel), i tom, w drugim wydaniu przez „Dom Książki Polskiej", Witolda Łaszczyńskiego poezji, noszących tytuł „Wysoki próg". — Nie żal się po nim wspinać za górną myślą Poety, który w przepięknej formie prowadzi nas po „słonecznych drogach" i „krwawych drogach", opowiadając „zdobycie Warszawy" i pieśnią miłosną · wypogadza czoło, i całą swą twórczością nie mąci wiary, utrwala nadzieję i miłość dla piękna naszej poezji.

„Studentce na urlopie". Śpieszymy donieść Pani, wraz z życzeniem zdrowia, że: JE. Ks. Biskup Dr Antoni Szlagowski otrzymał dekret P. Prezydenta Rzeczypospolitej z nominacją na profesora honorowego Unwersytetu Józefa Piłsudskiego.

Wobec tego, że tytuł profesora honorowego uprawnia do prowadzenia wykładów na uniwersytecie, jest możliwe, że Ks. Biskup Szlagowski, poczynając od nowego roku akademickiego, ogłosi cykl wykładów na wydziale teologicznym.

P. Helenie Z... we Lwowie. List wielce Szanownej Pani otrzymaliśmy. Dłuższą odpowiedź wysłemy pocztą, listem omawiającym sprawę nam przedstawioną. Za miłe wyrazy dla Redakcji „Rodziny Polskiej" serdecznie dziękujemy, pragnąc pożytecznie służyć domowi polskiemu w każdej potrzebie. Przysłane fotografie powstańców polskich z r. 1863, ze czcią oglądamy i wdzięczni jesteśmy za ich przysłanie. Oby Bóg dał siły i zdrowie całej zacnej Rodzinie Szanownej Pani!

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

P. Zofia Zaleska w Kronice Kobiecej „Kuriera Warszawskiego" zdaje sprawozdanie z dyskusji u ziemianek, której tematem była „Sprawa współczesnego wychowania dzieci na odcinku pomocy bliźniemu". Wychowaniu dzieci rodziców zamożnych zarzucano świadome odsuwanie dzieci od twardej doli dzieci biednych, gdy na ogół „należałoby wychowywać dzieci tak, by umiały współżyć ze swymi rówieśnikami i pomagać sobie od małego w nauce w życiu".

Pani Zaleska — prosi swoje czytelniczki o wypowiedzenie się na następujące pytania:

1. Czy chowają swoje dzieci, odsuwając je od bliższego zetknięcia się z niedolą i cierpieniem?
2. Czy uważają, że to jest dobry system?
3. Czy są zadowolone z brania przez ich dzieci udziału w szkolnej pomocy dla ubogich i jakie jej skutki wychowawcze zaobserwowały?

Może i nasze Szanowne Czytelniczki zechcą wziąć udział w tej ciekawej ankiecie, tym więcej, że zainteresowanie się jak najszerszych kół kobiecych tą ważną sprawą będzie echem, które Przyjaciółce naszego pisma, jaką jest p. Zofia Zaleska, sprawi niezawodnie duże zadowolenie.

Zjednoczenie Kobiet Pracujących zawodowo organizuje naukę języków obcych. Lekcje języka angielskiego odbywają się w szkole p. Sierpińskiej, Marszałkowska 63, we wtorki i piątki o godzinie 7 — 8 wieczorem. Tam także przyjmuje się zapisy.

P. Maria Suchocka wydała książkę pt. „Młodzież w ramach Akcji Katolickiej". Autorka jest prezeską Katol. Stow. Młodzieży Żeńskiej.

Dr Anna Danuta Drużbacka napisała książkę o naszej działaczce społecznej i posłance na Sejm, ks. Irenie Puzyniance. Książka napisana w języku francuskim, wydana przez Editions Labergiere. Tekst poprzedza piękna przedmowa JE. Ks. Arcybiskupa Teodorowicza.

Słusznie gorącej patriotce, entuzjastce w pracy dla kraju, należało się to utrwalenie pamięci, które w skreślonym wizerunku Zmarłej — stanowić może przykład zaparcia się siebie w służbie dla społeczeństwa i umiłowanych ideałów.

Panna Ewa Curie pisze w Paryżu „Opowieść" osnutą na tle życia swej wielkiej Matki, uczonej, która imię polskie jako Maria Skłodowska-Curie — rozniosła po całym świecie. — Córka Jej, zebrała na miejscu w Warszawie wiele materiałów od Rodziny swej Matki, posiada Jej obszerną korespondencję z siostrami i bratem pp. dr Drucką, Schalayową, dr. Skłodowskim, przyjaciółką p. Curie, a nawet z rozrzewniającym pietyzmem oglądała każdy kącik, deptała każdą ścieżkę, którą mierzyła jej Matka, jako uczennica gimnazjum rosyjskiego, potem robiąca pierwsze badania naukowe w małej pracowni przy Tow. Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Jeździła nawet w Ciechanowskie do domu pp. Żórawskich, gdzie p. Curie, po skończeniu gimnazjum była nauczycielką. „Opowieść" ta, tak ze wszech miar dla nas ważna, wyjść winna jednocześnie z tekstem francuskm — po polsku, tym więcej, że stanowiąc dla nas dobytek intelektualny i moralny, przyniosłaby niezawodne i wydawcy poza chlubą — niezaprzeczone korzyści materialne. —

Panna Ewa Curie jest wprawdzie tylko pół krwi Polką, ale ma wrodzone cechy dodatnich stron polskości i życzliwości dla narodu, z którego wyszła jej genialna Matka.

DLA MATEK I WYCHOWAWCZYŃ

Ciepło jako czynnik chorobotwórczy.

Jak się organizm broni przez czas dłuższy i jakie są skutki nadmiaru ciepła?

I faza — ciało się poci tym obficiej, im bardziej jest gorąco; przy poceniu się traci dużo wody, dlatego odczuwa ogromne pragnienie, apetyt przy tym zanika.

II faza — silne pocenie się ciała i duża utrata wody, zmienia układ sił w organizmie, ciało wyraźnie wiotczeje, oczy się zapadają, jak po ciężkiej chorobie, odporność przeciw zarazkom chorobotwórczym zmniejsza się wybitnie, następuje ogólne osłabienie.

III faza — występują takie same objawy chorobowe, jak podczas przeziębienia, tj. katary nosa, gardła, oskrzeli, grypa i inne choroby zakaźne.

IV faza — początkowo łagodne objawy chorobowe, o ile są zlekceważone, prowadzą później do bardzo ciężkich zaburzeń w organizmie, gdyż siły i odporność bardzo szybko zanikają. Wszystko co wymaga wysiłku i powoduje utratę wody w organizmie, jak np. biegunka, przyśpiesza pogorszenie i stanowi czynnik sprzyjający powstaniu chorób zakaźnych.

Przed zimnem bronimy nasz organizm za pomocą ubrania i ogrzewania mieszkań.

Przed upałem nie umiemy się bronić, stąd ujemne skutki upałów są większe, niż skutki mrozów.

Obrona przed upałem polega na

1) zredukowaniu ubrania,
2) ułatwieniu pocenia się,
3) unikaniu wysiłków fizycznych,
4) przebywaniu w pobliżu wody, na przestrzeni otwartej, gdzie są wiatry, które chłodzą ciało,
5) stosowaniu kąpieli w wodzie letniej.
6) oblewaniu zimną wodą,
7) przyjmowaniu więcej płynów, jarzyn i owoców.

Woda jako czynnik do życia niezbędny.

Życie bez wody jest niemożliwe — gdzie nie ma wody, tam nie ma życia.

Ciało człowieka dorosłego zawiera około 58% wody, zaś ciało noworodka około 70%.

Każda komórka w ustroju jest wypełniona wodą, w której są rozpuszczone sole mineralne.

Wszystkie procesy życiowe komórek mogą się odbywać tak długo, dopóki jest zachowany niezbędny stosunek ilości wody do ilości soli w organizmie.

Z chwilą, gdy ten stosunek zostaje zmieniony występują gwałtowne objawy choroby, a nawet śmierć.

Znaczenie wody dla organizmu.

Człowiek dłużej może żyć bez jedzenia, niż bez wody, a to dlatego, że woda w ustroju długo się nie zatrzymuje.

W zwykłych warunkach człowiek traci wodę w postaci wszelkich wydzielin ciała. Na tym polega proces usuwania z organizmu produktów przemiany materii trujących i dla ustroju nadzwyczaj szkodliwych.

Do takich należą mocz, pot i kał, a podczas choroby wydzieliny chorobliwe, jak wysięki, ropotoki, wykrztuszanie śluzu (flegmy) itp.

Zatrzymanie tych wydzielin skutkiem braku dostatecznej ilości wody jest dla życia niebezpieczne, o czym powinny pamiętać osoby pielęgnujące chorych.

W o d a o c z y s z c z a c h o r y o r g a n i z m i z a t r z y m u j e g o p r z y ż y c i u!

Ile wody organizm potrzebuje?

Zostało stwierdzone, że niemowlęta potrzebują 2 — 3 razy więcej wody, niż osoby dorosłe, a to dlatego, że przemiana materii jest znacznie przyśpieszona.

Niemowlę karmione piersią otrzymuje 125 — 150 cm^3 wody dziennie, licząc na 1 kg wagi ciała. A więc 10-kilowe dziecko potrzebuje około $1^1/_2$ litra wody, licząc w tym oczywiście wodę zawartą w pokarmie.

Jeżeli dziecko otrzymuje tylko 35—60 cm^3 wody na kilo wagi, zaczyna szybko ubywać na wadze, występują ciężkie objawy chorobowe, gorączka i zupełne wyczerpanie sił. Właśnie to samo dzieje się kiedy dziecko podczas choroby nie otrzymuje dostatecznej ilości wody.

Odżywianie jako źródło zdrowia.

Celem odżywiania jest dostarczanie organizmowi składników odżywczych do życia niezbędnych.

Organizm ludzki, a dziecięcy w szczególności, traci dużo energii i musi ją stale uzupełniać.

Ustrój dziecka potrzebuje materiału nie tylko do utrzymania życia, ale także do wzrostu, a więc zużywa więcej pożywienia na kilo wagi, niż człowiek dorosły.

Tym się tłumaczy większa wrażliwość dziecka na głód i wszelkie braki w odżywianiu, oraz poważniejsze następstwa, jeżeli takie braki istnieją.

Do składników odżywczych należą węglowodany (cukier), białka, tłuszcze, sole mineralne i substancje uzupełniające czyli witaminy. Wszystkie te składniki muszą być w odpowiedniej ilości i proporcji, oraz w odpowiednim czasie i w odpowiedniej formie organizmowi dostarczone.

Odżywianie jako czynnik normalny.

Rola odżywiania nie kończy się na przyjmowaniu i przetrawianiu pokarmu.

Pokarmy zostają przerobione na składniki chemiczne dostosowane do właściwości danego organizmu i dopiero za pośrednictwem krwi i chłonki dostają się do poszczególnych komórek.

I jeszcze na tym nie koniec, bo dopiero od komórki zależy, czy ona potrzebuje i może przyjąć pewne składniki odżywcze lub nie.

Gdy komórka jest poważnie uszkodzona, traci ona zdolność przyjmowania elementów odżywczych i ginie pośród dostatku pożywienia.

Tak np. bywa wtedy, gdy organizm wysycha z braku wody, lub ginie z braku tlenu.

Jest rzeczą zrozumiałą, że organizm może zużytkować tylko ograniczoną ilość pokarmu, ściśle od potrzeby i zdolności przyswajania składników odżywczych.

Ta ilość zależy przede wszystkim od wzrostu i wagi organizmu, wieku, wysiłków fizycznych, od właściwości nabytych i wrodzonych, zwłaszcza od stanu dróg trawiennych.

Poza tym zapotrzebowanie organizmu waha się zależnie od klimatu, pory roku, wpływu otoczenia, przyzwyczajenia i humoru dziecka.

Miarą zapotrzebowania organizmu jest apetyt.

Brak łaknienia sam przez się nie jest chorobą, lecz objawem czegoś, co się dzieje w ustroju. Wahania apetytu u dzieci zależy od wielu przyczyn natury cielesnej i psychicznej.

Należy przy tym pamiętać, że skuteczność odżywiania zależy nie tylko od ilości spożytego pokarmu, lecz przede wszystkim jakość pokarmu ma znaczenie decydujące.

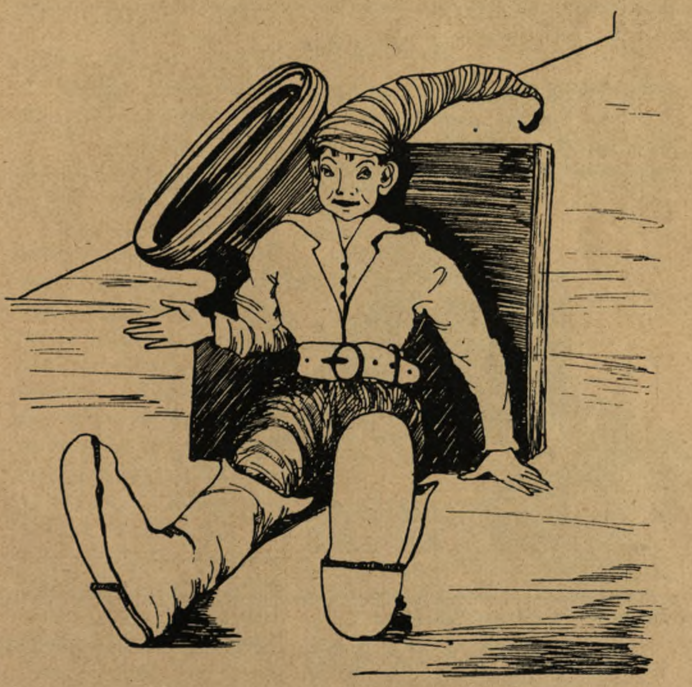
Umiejętny dobór ilościowy i jakościowy pokarmu jest podstawą normalnego odżywiania.

Dr med. Z. Lamentowski.

KĄCIK DLA DZIECI

MUCHA NIE MUCHA

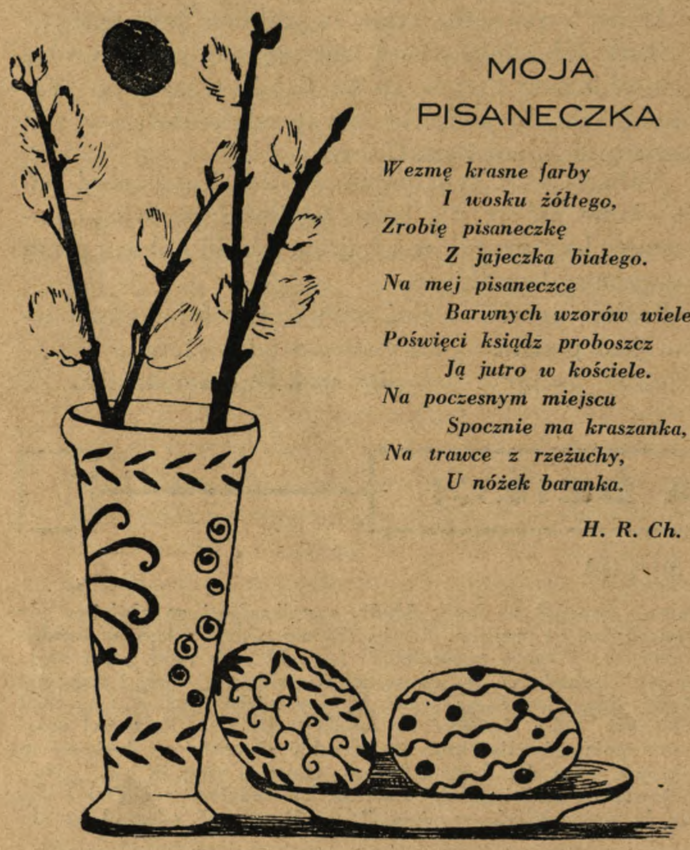
Skrzypiał Julek i skrzypiał piórem po zeszycie, pracowicie pisząc zadanie, machał piórem w lewo i prawo aż nieszczęsne litery nabierały przedziwnych kształtów, zataczały się, odpychały jedna drugą, wyskakiwały ponad linię lub wydłużały się w nieforemne skręty. Wtem coś załechtało go po nosie. „Cóż to?” zdziwił się Julek, „mucha o tej porze”. Machnął ręką i złapał „muchę”, ale zamiast brzęczenia usłyszał cichutki pisk. Zdumiony otworzył rękę, a na dłoni stoi krasnalek, nie wiele większy od muchy. Czerwoną ma czapeczkę, zielony spencerek i brązowe spodeńki, wpuszczone w miękkie skórznie. „A to co?” zawołał zdumiony chłopiec. A krasnalek czapeczkę zdejmuje i „witam cię, Julku” cienkim głosikiem mówi i zaraz dodaje „ale postaw mnie na stole, bo nie czuję się bezpiecznie na twojej dłoni”. „Ale jakże to zrobić?” zatroskał się Julek, „nie mogę wziąć waćpana w ręce, bo go zgniotę!” — „Przybliż rękę do stołu”, doradził poważnie skrzacik, „a ja już sam zejdę”. Posłuchał Julek, grzbiet ręki oparł o stół, a krasnalek pobiegł wielkimi krokami po dłoni, potem po palcu, chwycił jego koniec dwiema rączkami i skoczył zręcznie na stół, usiadł pod kałamarzem, oparł się oń plecami i wyjąwszy chusteczkę ocierał czoło. „Trochę mnie zmęczyła ta przeprawa”, objaśnił. „Ale skądżeś się wziął tutaj, skrzaciku?” pytał Julek, trąc dłoń, bo małe nóżki krasnalka połechtały go śmiesznie. „Siedziałem na piórze”, objaśnił skrzacik poważnie. „Dziwne ci się to wydaje? Ja to bardzo lubię. Ile razy twoja siostra Krysia pisze, zawsze siadam na jej piórze i chuśtam się miło. Chciałem spróbować tego i u ciebie, ale pierwszy i ostatni raz to uczyniłem!” — „Dlaczego?” zmartwił się Julek. „Cóż to Kryśka lepszego ode mnie?” — „Ja też tak myślałem”, potwierdził krasnal, „ale teraz widzę że lepsza, o ile lepsza! Na jej piórze kołysze się człowiek wygodnie, spokojnie, równiutko, a u ciebie, Boże drogi, myślałem, że z życiem nie wyjdę, kołysze się to twoje pióro w lewo, w prawo, w górę, w dół, skoki przedziwne wyczynia, czułem się jak rozbitek uczepiony do kawałka belki na wzburzonych falach morskich. Jakoś się trzymałem, drżąc co chwila o całość mych kosteczek, ale ten ostatni rzut, tak nieprzewidziany, oderwał mnie od pióra i całe szczęście, że lecąc chwyciłem twój koniec nosa i wylądowałem szczęśliwie. Ale strachu użyłem!” Julkowi zrobiło się nieprzyjemnie, bo że tam ciągle w klasie słyszał uwagi, że brzydko pisze, że niestarannie, że nic przeczytać nie można, to jakoś niestety nie robiło na nim wrażenia. Niby obiecywał poprawę, parę dni się starał i potem znowu popadał w dawne błędy, a najbardziej go złościło, gdy stawiali mu za przykład Krysię. Pewno takie wygłaskane babskie litery, bez żadnego rozmachu, ni fantazji! Ale tutaj, przez niego miły krasnalek, co to wieczorem na poduszce siada i dzieciom bajki śliczne do uszka prawi, by sny miały tęczowe, taką miał przygodę, która skończyć się mogła tragicznie. Kosteczki mógł sobie połamać, albo broń Boże, zabić się całkiem, jakieżby to okropne było dla Julka. Spuścił głowę i zamyślił się. „No”, odezwał się cienki głosik skrzacika, „ochłonąłem trochę to i pójdę do mojej dziurki za piecem”. — „Skrzaciku”, odezwał się nie-



śmiało Julek. „A co?" zapytał krasnalek, patrząc bystro na Julka. „Możeby waćpan, jednak... odważył się... popróbował", bąkał Julek, „ja już będę bardzo, bardzo uważny". Uśmiechnął się skrzat, popatrzył długo Julkowi w oczy i wreszcie kiwnął głową. „No, zaryzykuję", powiedział. Uszczęśliwiony Julek podsunął pióro, mała figurka wdrapała się zręcznie i usiadłszy na samym końcu „jedziemy", zakomenderowała. Ach, jak starannie stawiał Julek litery, równo jedną obok drugiej, była chwila, że zamachnął się po dawnemu, ale jedno ostrzeżenie przestraszonym głosikiem: „Ostrożnie!" umitygowało go w tej chwili. Przepisał całe zdanie czysto, równiutko. „Skończyłem", westchnął, nachylając pióro, by ułatwić zejście małemu towarzyszowi. „Dziękuję, Julku", powiedział krasnalek, „było tak przyjemnie jak u Krysi". Julek aż pokraśniał z zadowolenia. „Naprawdę!" wykrzyknął, „a czy, skrzaciku najdroższy, przyjdziesz jeszcze kiedy?" — „Zawsze", odpowiedział skrzacik poważnie, „ile razy będziesz pisał, ale musisz mi obiecać, że nigdy mnie już tak nie będziesz wytrząsał — drugi raz nie mam ochoty przeżywać czegoś podobnego". — „Możesz mi waćpan zaufać!" zawołał Julek gorąco.

I odtąd ilekroć razy Julek zabierał się do pisania pytał: „Skrzaciku, jesteś?" — „Jestem, jestem", odpowiadał mu cienki głosik. Dziwne to, ale przekonał się Julek, że wolniej pisząc nie tylko dostawał teraz pochwały za staranne pisanie, ale i zadania były dokładnie odrabiane. A gdy go chwalono za piękne pismo, mówił całkiem szczerze: „To nie moja zasługa!"

H. Rostafińska-Choynowska



MOJA PISANECZKA

Wezmę krasne farby
I wosku żółtego,
Zrobię pisaneczkę
Z jajeczka białego.
Na mej pisaneczce
Barwnych wzorów wiele,
Poświęci ksiądz proboszcz
Ją jutro w kościele.
Na poczesnym miejscu
Spocznie ma kraszanka,
Na trawce z rzeżuchy,
U nóżek baranka.

H. R. Ch.

W MARCU

Pachnie ziemia rozorana
Nowym pachnie chlebem,
A skowronek swą piosenkę
Dzwoni hen pod niebem.
Szczęść wam Boże! — srebrne pługi,
Krajcie ziemię czarną,
By mięciutko utuliła
To złociste ziarno.
Szczęść wam Boże! — pochyleni
Nad pługami ludzie.
Błogosławże wam Bóg w pracy,
W waszym zbożnym trudzie.
Szczęść ci Boże! — szare ptaszę
Dzwoniące pod niebem:
Boć i pięknem człek też żyje
A nie samym chlebem.

H. R. Ch.

WESOŁY KĄCIK

Nauczycielka: ...więc ciałami przeźroczystymi nazywamy np. wodę, szkło... Janku! wymień mi jeszcze jakieś ciało przeźroczyste!

Janek: Drabina, proszę pani.

PROZNA CHWAŁA

Rosną baby, w formach rosną,
Ciągle w górę, w górę...
Na stół wielkanocny staną
Najpiękniejsze — które?
Wszystkie rosną równiuteńko
Jedna tylko była,
Co nad siostry tchem drożdżowym
W górę się wznosiła.
„Najpiękniejsza ja z was będę!"
Tak się nadymała,
Aż z tej pychy w ciepłym piecu
Z formy wykipiała.
Teraz w krzywym czepcu stoi,
Wstyd rumieni lice.
Sny o chwale, o pierwszeństwie
Poszły już na nice.

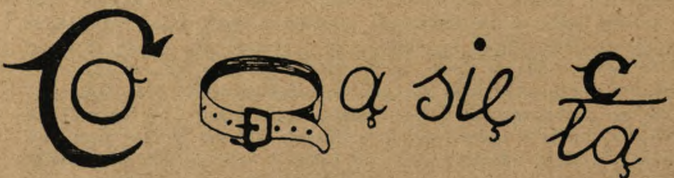
H. R. Ch.

KROKUSY

A jeszcze tchem mroźnym
Chłodzi luta zima,
Lód jeszcze w okowach
Wody silnie trzyma —
Lecz śnieg już roztapia
Słońca blask radosny,
Z głębi ziemi wabi
Tych zwiastunów wiosny.
Kędy tylko śniegu
Ustąpi skraweczek,
Zaraz na tym miejscu
Zakwita kwiateczek
I fiołkową barwą
Cieszy ludzkie oczy,
Zew wiosny zaklęty
W kształt zwiewny, uroczy.
To krokusy kwitną,
Już pełno ich wszędzie,
Zwiastują nowinę:
Wiosna, wiosna będzie.

H. R. Ch.

REBUS



Redaktor: Dr Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. XX. Pallotynów.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

IZABELLA HENTSZEL

GDY KOBIETA CHCE BYĆ PIĘKNĄ

Kiedyś, podczas rozmowy z mężczyzną-gentelmanem (okaz w zaniku), usłyszałam ciekawe zdanie: kobiet brzydkich nie ma — są tylko mniej lub więcej piękne.

Trudne do określenia jest to pojęcie piękności.

Przypuśćmy, że do tych bardziej pięknych zaliczymy panie, które mają dość regularne, lub przynajmniej nie rażące rysy, gładkie cery i w ogóle możliwy wygląd zewnętrzny. Te przeważnie domowymi środkami (tajemnicy nie zdradzę) do potęgi piękna podnoszą swą urodę, wdzięk, a czasem nawet młodość.

Dla kobiet mniej pięknych zasób tajemnej wiedzy domowej jest zbyt ograniczony. Dla nich istnieją sławne „salony piękności". —

„Salon de beauté". Jestem tu po raz pierwszy. Zwykle ten pierwszy raz jest najtrudniejszy. Mówiąc regionalnie — serce mi telepie ze wzruszenia. — Za kilka godzin mam stąd wyjść piękna!

Czy ktokolwiek jest w stanie pojąć poczucie własnej piękności?

O filozofowie i psycholodzy, którzy całe swe życie spędzacie na badaniu wrażeń i odcieni psychicznych zwykłego, szarego człowieka, czy chociaż raz w życiu zgłębiliście duszę kobiety, którą z kopciuszka pasowano na piękność? —

To jest uczucie wielkie, potężne, niewysłowione!

W tej chwili znajduję się w dziwnym salonie. Podłoga całkowicie zasłana dywanami, które tłumią każdy głośniejszy szmer.

W świetle przyćmionych kandelabrów widzę kilka chaotycznie rozstawionych szezlongów. Na każdym z nich leży coś, co kształtem przypomina kobietę o kopulastej, gipsowej głowie. W powietrzu unosi się mdła woń kamfory, lanoliny i perfum.

Pod wpływem tych wrażeń w kobiecym moim móżdżku następuje makabryczne skojarzenie tytułu powieści: „Dom połamanych lalek". Tak uplastyczniam sobie ten tytuł. —

W tej chwili wyrasta przede mną jakaś biała postać. Zdaje mi się, że jest to mężczyzna. Rzuca krótki rozkaz:

— Proszę za mną. —

Idę posłusznie, omijając po drodze szezlongi.

Teraz jestem w oddzielnym, małym gabinecie rzęsiście oświetlonym. Światła silnych lamp, skierowanych na moje biedne oblicze oślepiają mnie jak jupitery. Wydaje mi się, że jestem w jakimś atelier filmowym. Sztuka! Film! Fantazja unosi mnie na swych skrzydłach w krainę tęczowych marzeń. Być wielką, piękną, sławną artystką! Zostać gwiazdą już nie w Hoolywood, ale chociaż w Warszawie! Upajam się złudzeniem!

Nagle ostry głos przypomina smutną, prozaiczną rzeczywistość!

— Podbródek obwisły — mówi — głębokie brózdy, cera zniszczona, jak u 48-letniej kobiety. Aż wstyd, niby współczesna kobieta, a taka zaniedbana!

— Istotnie, panie doktorze, przedwczoraj skończyłam 47 lat.

— To dla mnie nie nowina — widziałem wiele starych bab, przepraszam, pań chciałem powiedzieć, które... miały bardziej porowatą skórę — dodaje tonem pocieszenia. — No cóż, jeżeli się nie mylę, to dowodzi, że moje diagnozy są nieomylne, nieomylne powtarzam i żadna kobieta nie ukryje przede mną swoich lat! Co? pani się zmartwiła,

— Głupstwo! Zostawi pani u nas co najmniej 20 lat i wyjdzie stąd odmłodzona, upiększona — dodaje z filuternym uśmiechem. —

— Panno Anielo! — woła.

Natychmiast bezszelestnie zjawia się biała postać.

— Proszę zaaplikować zabieg regeneracyjny, maseczkę, masaż i maquillage!

Wyszedł. Jestem oddana pod opiekę panny Anieli. —

Porada i diagnoza pana doktora-profesora skończona.

W błyskawicznym tempie p. Aniela przy pomocy swej asystentki układają mnie na szpitalnym fotelu-łóżku.

— Proszę leżeć spokojnie i nie ruszać się! O tak!

Jakaś niewidzialna ręka podaje p. Anieli miskę napełnioną czymś w rodzaju rzadkiego ciasta.

— Proszę zamknąć oczy!

Rozumiem. Nie chcą, abym widziała, co mi włożą na twarz. Szpareczką lewego oka śledzę jej ruchy.

— Proszę zamknąć oczy szczelnie. — Nic złego nie zrobię! — mówi trochę zirytowana.

Rezygnuję i zamykam oczy zupełnie.

Całą twarz oblepiają mi owym ciepłym ciastem, które szybko stygnie i twardnieje.

— Boli! — wołam.

— Nic nie boli — przesada — odpowiada p. Aniela. — Jeszcze chwilę spokoju.

Taraz bandażują mi podbródek z głową. Raz, dwa, raz, dwa. Gruba obręcz merli rośnie mi pod brodą. Usta unieruchomione. Próbuję coś powiedzieć, ale na próżno!

Nareszcie skończyła. Ostrożnie i delikatnie p. Aniela przeprowadza mnie do pierwszego salonu i układa na jakimś wolnym szezlongu.

Powiększam grono połamanych lalek. —

— Tu pani poleży dwie godziny i odpocznie! —

Leżę, uczę się cierpliwości i cierpię dla piękności.

Czas mija dość szybko. Mimo pozorów spokoju panuje tu ciągły ruch. Ciągle wchodzą tu „mniej piękne", wychodzą „piękne".

Każda z obawą przygląda się leżącym mumiom, czy nie ujrzy przypadkiem znajomej twarzy. Bo kobieta nie lubi mieć znajomych świadków swej metamorfozy.

I znów przeprowadzono mnie do innej separatki.

Panna Aniela z dokładnością moczy mi twarz jakimś tłustym płynem i okłada watą. Twarda skorupa pęka i odpada kawałami. Istotnie zrzuciwszy maskę czuję się odmłodzona, no i naturalnie piękniejsza. Dusza śpiewa radosną pieśń!

Nagle jakaś ręka wymierza mi policzek jeden, drugi, trzeci, czwarty.

W pierwszej chwili chciałam reagować czynnie, ale na szczęście oprzytomniałam i uświadomiłam sobie, że... to tylko upiększający masaż.

Pomijając rozkosz odczuwania dość silnych uderzeń słyszałam jednocześnie brawa wybijane rytmicznie na mojej własnej twarzy. Takie słyszy się tylko na premierze w teatrze, w ostatnich rzędach. To była moja premiera piękności! Już skończyła się. Patrzę w lustro. Horrendum! Z natury księżycowa moja twarz, wysmarowana tłuszczem, przypomina bryłę szmalcu z wystawy



masarskiej z napisem „do karnawałowych fawor-ków".

Moja własna brzydota oślepiła mnie. Zamykam oczy. Już przestaję reagować na wszelkie zabiegi.

Panna Aniela przez cały czas ciągle coś wciera, wyciera, na policzkach, na powiekach, pod oczami.

Zaczynam się kręcić na fotelu.

— Jeszcze chwilka cierpliwości — mówi p. Aniela tkliwym głosem — oczki proszę mieć w dalszym ciągu zamknięte — zakładem rzęsy.

— Rzęsy? To zbyteczna — dziękuję.

— Czyż ładna buzia może istnieć bez długich firanek rzęs? —

Przekonała moją próżność. Cierpię dalej. Czuję misterne dotknięcia w okolicy powiek i znów rozcieranie.

— A teraz proszę spojrzeć na mnie! Pięknie pani wygląda! Uroczo — woła z zachwytem.

Spoglądam w lustro. Gdzie ja jestem? Co się ze mną stało?

Poznaję tylko swoją suknię i ręce. Ale gdzie twarz — ja?

W lustrze widzę odbicie jakiejś ładnej kobiety. Różowa, brzoskwiniowa cera, purpurowe usta i oczy. Piękne oczy, ocienione długimi rzęsami. Z trudem podnoszę powieki. Ta ociężałość nadaje oczom odcień kokieteryjnej melancholii. —

Jestem piękna! To nie sen — to rzeczywistość. —

— Teraz zechce pani łaskawie przejść do salonu fryzjerskiego, gdzie pan Stefan dokończy dzieła.

Przechodzę. Automatycznie siadam na wskazanym fotelu i jak urzeczona patrzę w lustro. Powoli oswajam się ze swą nową twarzą i wracam do rzeczywistości.

W przeciwieństwie do salonu lekarsko-kosmetycznego, gdzie panował naukowy spokój, przerywany jękami boleści delikwentek, tu w salonie fryzjerskim jest przede wszystkim gwarno i głośno.

Huczą aparaty do suszenia włosów, szczękają nożyczki i żelazka w rękach mistrzów fryzjerskich, a poczciwy Bocheński ze skrzynki głośnika na tle rzewnej melodii „skrzypek cygański" daje zbawienne rady, że „chrypkę, kaszel, tudzież inne zaziębienia dróg oddechowych leczy radykalnie „Motopirin", jeszcze raz powtarzam „Motopirin".

W powietrzu unoszą się opary z mokrych głów, woń przypalonych włosów i „substelny" vegétal. — Oto atmosfera przybytku, w którym podkreśla się piękność kobiety.

Długi rząd luster, a przed nimi fotele, na których we wdzięcznych pozach spoczywają platynowe i złociste blondynki, kasztanowe szatynki i krucze brunetki. Obok każdej z nich w białych płaszczach mistrzowie ondulacji.

Koncert reklamowy w radio skończony. Nad program płyta. Kiepura śpiewa: „Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki całować chcę"... Uśmiechają się słodko usteczka pięknych pań. Ta i owa nuci piosenkę.

— Panie Władysławie — szepce brunetka na trzecim fotelu po prawej stronie — proszę mi zrobić taką hiszpańską fryzurę. Tu gładko, a tu loki, loki, loczki, dużo loczków. Obecnie to tak modnie, aktualnie, politycznie. Będzie mi w tym ładnie. Nieprawdaż?

— Ależ oczywiście, szaann pani jest tak śliczna, że właściwie...

— Ależ komplecista z pana, że...

— Ojej! parzy! parzy! panie Wacławie! — krzyczy bl^ndyneczka z piątego fotelu.

Kilka głosów zwraca się w kierunku oparzonej damy ze złośliwymi spojrzeniami lub uwagami:

— Drze się, jakby ją kto ze skóry obdzierał — mówi otyła jejmość z czwartego fotelu.

Obok mnie siedzi pani doktorowa (tak ją tytułuje pan Marian).

— Panie Marianie — mówi rozkapryszonym głosikiem. — Tę falę proszę mi zrobić niżej nad czołem, bo pan dyrektor Burbecki powiedział mi, że w tym ostatnim uczesaniu wyglądam nieco poważnie. A mój mąż, ten gbur, powiedział mi, że po raz pierwszy jestem uczesana odpowiednio do wieku. Ignorant, bez wychowania domowego! Prawda? Znów mecenasowa Zewradzka, gdy przed dwoma tygodniami byłam u nich na bridge'u i miałam to uczesanie warkocza w koronę, w którym wyglądałam młodo i zachwycająco (tak twierdził mecenas Rudecki i major Koper), powiedziała z zazdrością: „Czesał panią chyba organista, a nie fryzjer". Słyszy pan? Obraziła pana. Powinien się pan na niej zemścić. A wie pan jak? Już obmyśliłam wszystko! Niech pan ją namówi na spuszczony warkoczyk z motylkiem na tym rosochatym łbie! To będzie wspaniała zemsta!

— Panie Marianie? Wie pan... zdobyłam wielką tajemnicę, ale pod słowem honoru, że nie powiem nikomu. Ale panu... muszę ją powiedzieć, muszę. Niech pan sobie wyobrazi, że ta inżynierowa Bambergowa, która twierdzi, że ma zaledwie 32 lata, 17 grudnia o godz. 4 m. 15 skończyła 48 lat. — O wstrętna! Przy najbliższej okazji dam jej odczuć moją najwyższą pogardę! —

Pan Stefan skończył moją fryzurę.

Z uczuciem niewysłowionej rozkoszy po 5 godzinach opuszczam „Salon de beauté".

Teraz dopiero pojmuję bezdenną głębię sentencji: „Pour être belle il faut souffrir". —

A dla kogo tak cierpimy?

O tym w następnym numerze.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	35 kor. cz.
Niemcy	4 Rmk	Ameryka	2 dolary
Francja	23 frank.	Inne kraje	6 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.